



3
**głęboka
studzienka**



6
**jasny pro-
mień w
ciemności**



11
**upalna
niedziela**



12
**zdrowotny
dziadek**



14
**nie znam
beczyn-
ności**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

26

(102)

KONTAKTY

26 IX 1982

Cena 12 zł

polskie duszki Andrzeja Podulki



PIWOPIJ LENIWY. Typek z rodziny Niepracowitych. Występuje w bezpośrednim sąsiedztwie sklepów i barów handlujących piwem. Bardzo trudno oswojalny z pracą. Ma zawsze lepkie ręce, ponieważ jego głównym pożywieniem jest piwo. Jeżeli nie jest drażniony, zachowuje się spokojnie. Porozumiewa się przy pomocy ciekawej odmiany łaciny, zupełnie niezrozumiałej dla większości profesorów uniwersyteckich. Ciekawy obiekt dla językoznawców.

szeryf jest tylko jeden

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

OD SOLTYSY DO MINISTRA

wojewoda pod lupą

„Wojewoda” to brzmi dumnie, choć tak różnie znaczyło przez wieki. Największe poważanie miał ten urząd w XI—XIII w., gdy wojewoda był najwyższym urzędnikiem książęcym, zarządzającym dworem zastępującym monarchę — zwłaszcza w dowodzeniu wojskiem (stąd nazwa) oraz w sądownictwie. Od wieku XIV jego kompetencje malały, choć był najstarszym rangą dygnitarzem ziemskim, mianowanym przez króla dożywotnio. Wojewodowie zasiadali najpierw w radzie królewskiej, później w senacie. W Księstwie Warszawskim i w Królestwie Polskim również występowała tytułarna godność wojewody, a w okresie międzywojennym reprezentował organ administracji państwowej w województwie.

W Polsce Ludowej w 1950 r. zniesiono ten urząd, a jego kompetencje przejęły prezydium wojewódzkich rad narodowych. W 1973 r. wojewodowie powrócili na stanowisko szefów terenowych organów administracji państwowej powoływanych przez prezesa Rady Ministrów, po zaopiniowaniu przez radę narodową.

Jerzy Zientara wojewoduje Ziemi Łomżyńskiej już siódmy rok. Nasza wiedza o nim jest zazwyczaj niepełna: oficjalnie był, reprezentował, zarządził itp.; nieoficjalnie — trzy wille, dwie daczki, czternaście ustrzelonych jeleni i pięć łosi, co rok inny samochód, utrzymanie: głównie z łapówek. Po ostatnich licznych kontrolach plotek jest dużo mniej, lecz i tak w naszym wewnętrznym portrecie wojewody więcej własnych wyobrażeń niż faktów.

Chcąc przybliżyć i postać, i urząd wojewody, prezentujemy mini-sondę, w której respondenci odpowiadali na pytanie: czym

STR. 7

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

RAPORT o stanie oświaty rolniczej w województwie i kierunkach jej rozwoju oraz informacja o realizacji Uchwał VII i VIII Plenum KC PZPR to główne tematy obrad Plenum KW PZPR, które odbędzie się w najbliższy poniedziałek, 27 września.

O POROZUMIENIU NARODOWYM, aktualnych problemach społeczno-politycznych i gospodarczych kraju oraz województwa dyskutowali prezesi kół terenowych i aktyw wojewódzki Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego w Łomży.

W żywej i szerokiej dyskusji zebrani przekazywali niepokój wsi wynikający z niepełnej informacji o przebiegu prac legislacyjnych, dotyczących m.in. ustawy o przekazywaniu gospodarstw, konstytucyjnego zapisu trwałości gospodarki indywidualnej, ustawy o rentach i emeryturach. Nie mniejsze obawy wsi — mówili ludowcy — budzą głosy o wprowadzeniu obowiązkowych dostaw, planowanym wysokim wzroście obciążeń podatkowych i ubezpieczeniowych oraz pogłoski o restrykcyjnym działaniu w kwestii skupu zboża. Pytali o postęp prac nad nową ordynacją wyborczą, o los internowanych działaczy politycznych i gospodarczych, odpowiedzialnych za obecny kryzys. Do problemów tych ustosunkował się kierownik Wydziału Pracy-Ideowo-Wychowawczej NK ZSL, Stanisław Mienkowski, wicewojewoda Zdzisław Truszkowski i prezes WK, Czesław Gartych. Wyjaśnili m.in., iż nie ma mowy o przywróceniu obowiązkowych dostaw — plotki na ten temat traktować można jako nieodpowiedzialną, wręcz wrogą, robotę polityczną; nowy system podatkowy wejdzie w życie nie wcześniej niż w połowie przyszłego roku, a jego wysokość nie może spowodować, by dochody rolników były mniejsze niż ludności miejskiej; projekt ustawy o ubezpieczeniach jeszcze w tym roku znajdzie się w Sejmie, a na temat konstytucyjnego zapisu trwałości gospodarstw indywidualnych wypowie się najbliższe wspólne posiedzenie władz PZPR i Stronnictwa.

Z konkluzji dyskusji wynikają nowe zadania Stronnictwa. Musi ono aktywniej zaangażować się w reformę gospodarczą, zwiększyć oddziaływanie na opinię wsi, perswazyjnie oddziaływać na rolników, by wywiązali się ze swych obowiązków wobec państwa. Za jedno z najważniejszych zadań w chwili obecnej zebrani uznali, udzielenie pełnego poparcia dla idei porozumienia narodowego. Udokumentowali to jednogłośnie przyjętym apelem, którego fragmenty cytujemy.

„Prezisi instancji terenowych i aktyw wojewódzki Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego obradujący w dniu 15.09.1982 r. w WK ZSL w Łomży zwraca się z apelem do wszystkich ogniw i członków Stronnictwa oraz mieszkańców wsi o wspieranie działań służących wyświeceniu kraju z kryzysu i budowy Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Zjednoczmy się w Ruch, który jest najlepszą płaszczyzną integracji społeczeństwa, gwarancją kontynuacji reform gospodarczych i odnowy socjalistycznej.

Niechaj w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego znajdą swoje miejsce wszyscy, którzy pragną sercem, umysłem i pracą służyć naszej Ojczyźnie. Jednocześnie aktywność i zbiorowa mądrość są potrzebne do eliminowania zła z życia wsi, podejmowania problemów młodego i starszego pokolenia, wiejskich kobiet oraz producentów rolnych, tych co „żywią i bronią”.

Wiele z tych ludzkich spraw podjęły już Obywatelskie Komitety Odrodzenia Narodowego.

Idźmy dalej tą drogą, wpajając poczucie obywatelskiej współodpowiedzialności i rozważli. Wyzbijmy się nieufności, co do służności kierunku naszych działań na rzecz pojednania narodowego.

Apelujemy do Was, ludowcy Ziemi Łomżyńskiej, byście swym autorytetem i powagą, jak najliczniej wsparli rodzący się Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego”.

PRZEDSTAWICIELE organizacji społeczno-politycznych i stowarzy-

szeń społecznych spotkali się 20 bm., aby omówić udział tych organizacji w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego.

OBYWATELSKI KOMITET Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Łomży zebrał się 15 września na posiedzeniu plenarnym. W województwie łomżyńskim istnieje 37 izb i 116 ekspozycji pamięci narodowej. Omówiono plan remontów i konserwacji ementarzy i kwater wojennych. W dyskusji podkreślono konieczność bliższego zapoznania młodzieży z historią regionu. Przykładem takiego działania, po zakończeniu akcji „Bohater”, będzie nadanie łomżyńskiej chorągwi ZHP imienia Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Narew”.

POMNIK ŻOŁNIERZY 71 pułku piechoty, którzy we wrześniu 1939 roku walczyli na ziemi łomżyńskiej, odsłonięto 19 bm. w Zambrowie. W obecności weteranów walki z hitlerowcami oraz licznie zgromadzonego społeczeństwa Zambrowa i okolic odsłonięcia dokonał Zdzisław Gembicz, były żołnierz tego pułku. Towarzyszyli mu Włodzimierz Michalik, I sekretarz KW PZPR, Włodzimierz Sokorski, prezes ZG ZBaWiD, i Jerzy Zientara, wojewoda łomżyński. 249 osób zostało odznaczonych Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski, medalami „Za udział w wojnie obronnej 1939”, Krzyżami Partyzanckimi i Medalami Zwycięstwa i Wolności.

KAMPANIA SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZA w SD będzie przebiegać w bardzo złożonej sytuacji polityczno-gospodarczej — powiedział przewodniczący WK SD, Marian Mieszkowski, na naradzie przewodniczących MK SD Kółek Terenowych — i dlatego należy wiele uwagi poświęcić wyjaśnieniu przyczyn i skutków aktualnych warunków oraz zjednać jak najwięcej ludzi do idei porozumienia narodowego.

DZIAŁALNOŚĆ BANKU Gospodarki Żywnościowej w Łomży została oceniona przez jego Radę Wojewódzką na wyjazdowym posiedzeniu w Ciechanowcu. Oto kilka danych ilustrujących funkcjonowanie systemu ekonomiczno-financego „bankiera” naszych rolników. Wypłaty kredytów (wszystkie dane odnoszą się do 8 miesięcy br.) wynoszą: 232 mln złotych na inwestycje rolnicze, 370 mln złotych na cele obrotu rolnego oraz 18 mln złotych na inwestycje dla pozarolniczej gospodarki nieuspołecznionej. Wysokie jest także kredytowanie zakupów ratalnych dla MM, które 3-krotnie przekraczają przyznany naszemu województwu limit. Niestety, podaż artykułów na te zakupy jest tak mała, że kredyty zrealizowano jedynie w 35 proc. Rosną także oszczędności, które na koniec lipca wynosiły 3295 mln złotych, czyli o 671 mln złotych więcej niż w dniu 31 grudnia ub. roku. Ponadto Banki Spółdzielcze sprzedają rolnikom w tym czasie 2013 ha gruntów z Państwowego Funduszu Ziemi.

TAKŻE W CIECHANOWCU, w dniu 13 września odbyło się plenarne posiedzenie Zarządu Głównego Zrzeszenia Lekarzy i Techników Weterynarii. 70 przedstawicieli wszystkich województw omawiało sprawy wdrażania reformy. Wielkie zainteresowanie i uznanie wyrażono twórcą — jedynym w Polsce i jednego z nielicznych w Europie — Muzeum Weterynarii, uruchomionego niedawno jako dział Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu.

KONCERTY muzyki z operetek i music-halli dla mieszkańców Wyso-

kiego Mazowieckiego, Grajewa i Wasosza przygotowała Łomżyńska Orkiestra Kameralna w dniach 22 i 23 września. Wystąpią także Barbara Skowronek i Mariusz Cellari, soliści Operetki Warszawskiej.

PRZECENIONA O POŁOWE prasę można nabyć w Łomży przy placu Żeglickiego w sklepie „Upominki”. Oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch” liczy na większy zysk i satysfakcję, że czytelnicy o małych dochodach mają zwiększoną możliwość czytania prasy.

NAREW ZNÓW ZATRUTA ściekami Białegostoku. Tegoroczna susza sprawiła, że ilość wody w Narwie zmniejszyła się i nie może rozpuścić wszystkich ścieków, które do niej obficie spływają. W dniach 8 i 9 września obserwowaliśmy lawice śniętych ryb. Wydział Ochrony Środowiska, Gospodarki Terenowej i Administracji UW w Łomży skierował do Wojewody Białostockiego pismo, które zawiera m.in. rzeczową argumentację o konieczności natychmiastowej budowy oczyszczalni komunalnej w Białymstoku.

MECZ PIŁKARSKI DZIENNIKARZY FC Publikator i „Kontaktów” z III programem Polskiego Radia, prowadzony przez sędziego międzynarodowego, Alojzego Jarguza, zakończył się rezultatem 3:2 dla „Trójki”. Strzelcami bramki byli: dla „Kontaktów” — Kazimierz Olszewski i Jerzy Brodziuk, a dla „Trójki” — Henryk Olszewski, Lech Nowicki i Maciej Szczęsny. W dodatkowych rzutach karnych był remis 4:4. Fotoreporter z meczu w przyszłym numerze.

TURNIEJ SZACHOWY o puchar Przewodniczącego Oddziału Miejskiego Stowarzyszenia PAX w Łomży zaczyna się 5 października o godz. 18.00 w klubie PAX. Klub przyjmuje zgłoszenia uczestników do 1 października w swym lokalu przy ul. Rządowej 8 (tel. 20-70).

ZDARZENIA REDAGOWAŁ:
HENRYK GALA.

wolny rynek

Dnia 17 września 1982 roku na wolnym rynku ceny kształtowały się następująco: ogórki (kilogram) — po 25—35 zł, sliwki (kilogram) — 40 zł, gruszki (kilogram) — po 20—50 zł, jabłka (kilogram) — po 25—40 zł, ziemniaki (kilogram) — 15 zł, marchew (kilogram) — 20 zł, pietruszka (pęczek) — 10 zł, por (sztuka) — 20 zł, rzodkiewka (pęczek) — 15 zł, szczyptok z zielony (pęczek) — 10 zł, pomidory (kilogram) — po 15—40 zł, kalafior o wadze około 3 kg — 100 zł, kapusta (główna) — po 20—40 zł, kurczaki (sztuka) — 250 zł, kaczki (sztuka) — 400 zł, gęsi (sztuka) — 700 zł, jajka (para) — po 29—30 zł, parka prosiaków — po 2500—4000 zł, owies (kwintal) — 2200 zł, jęczmień — 3000 zł, pszenica — 3500 zł, żyto — 2300 zł, sadzonki bratków — 12 zł, pędy truskawek — po 5—10 zł.

Kosmicznych sum żądano za: kaczki męskie z cholewką — 15.000 zł, adidasy prod. USA — 5000 zł, prod. czeskiej — 3000 zł, kawę naturalną w puszcze 1/2 kg — 2000 zł, wyprawione skróki lisie wahały się od 17.000 do 20.000 zł, kurtka damska zamszowa kosztowała — 5000 zł, komplet serwetek haftowanych pod filiżanki — 600 zł, futro z czapką z nutrii — 75.000 zł, imitacja kożucha (męskiego) — 25.000 zł, buty gumowe męskie — 1000 zł, kapla na tapczan — 1000 zł, chodnik sznurkowy (mb) — 250 zł, mata słomkowa wypalana — 250 zł, pierścione lub obrączka z tombaku — 250 zł, łyżka drewniana — 50 zł, kombinezon roboczy — 700 zł, ubranie robocze drelchowe — 1200 zł.

myśl z atestem

„Odkrycia są błyskami. Można znaleźć kamień filozoficzny i zapomnieć, gdzie leży”.

Hugo Steinhaus (1887—1972, wybitny matematyk) w „Słowniku racjonalnym”, Ossolineum 1978.

zdanie tygodnia

„Wróg, który przestał działać wrogo — przestaje być wrogiem.”
Jan Głowczyk, sekretarz KC PZPR

po meczu FC Publikator i „Kontaktów” z „Trójką”

Zagorzały kibic „Kontaktów” Karolina, rozmawia z Danutą Wroniszewską, selekcjonerem ekipy „Kontaktów”.

K.: — Jak zniosłaś porażkę?
DANUTA: — Jaka porażka?! „Trójka” przypadkowo strzeliła jednego gola więcej. Czy przez to publiczność i my bawiliśmy się mniej dobrze?

K.: — A wyglądało tak, jakby zawodnicy obu drużyn grali na serio.

D.: — Bo grali. Lecz szło o usmiech publiczności, a nie o wejście do ligi. Poza tym na boisku były trzy drużyny, nie dwie, a dwie ekipy na jednej połowie to coś nie tak i dlatego nie wszystko nam wychodziło: Publikator rozgrywał między sobą i „Kontaktom” ciężko było walczyć z nimi o piłkę. Stąd rogardiasz, i na początek graliśmy nawet w dwunastkę. Gabor wcisnął się „na lewo”, obawiał się, że jako rezerwowy bramkarz weale nie wejdzie na boisko. Postanowiliśmy się więc usamodzielić i stworzyć sensowną drużynę z miejscowych dziennikarzy oraz członków Rady Redakcyjnej. A wtedy drzyj, LKS-ie!

K.: — Zawsze żartujesz...

D.: — Ale nigdy z piłki nożnej. Old-boye LKS-u jeszcze przed meczem, lecz już po pogromie, jaki sprawiliśmy ZSMP-owcom (7:3), zaproponowali nam mecz z przeznaczeniem dochodu na jakiś bardzo szlachetny cel. Nie wiem jednak, czy zdążyliśmy w tym roku. Muszę przecież dość mocno przebudować zespół, a jeden z najlepszych zawodników, Zbyszek Henczel, będzie musiał poddać się operacji łokcia. Gdybyśmy jednak w przyszłości nie dawali sobie rady z trzecioligowym LKS-em, założymy Ligę Patałachów i rzucimy wyzwanie prawnikom, lekarzom, artystom, może nawet milicjantom.

K.: — Śmiała wizja. A jak oceniasz „Trójkę”?

D.: — Przyjemna banda, dobrana na zasadzie „młodość i uroda”. Natomiast trzydziestolatkę: Zdzisław Mac i Janusz Atlas — prowadzili dywersyjną robotę. Atlas rozmieszczał lub zbijał z pantalki zawodników; gdy nasz bramkarz Szerzenowicz poszedł się wysmiać na stronę, radiowy odważył się zaatakować (skutecznie) pustą bramkę. Wtedy zdecydowałam się wprowadzić na boisko, w ramach dywersji psychologicznej, uroczą dziewczynę. Skutkiem był natychmiastowy wyrównanie. Urzeczony sędzia Jarguz chciał jej nawet odstąpić na 10 minut swój gwizdek, lecz Atlas, czując poważne zagrożenie, zwabił ją na wieżę. Natomiast Zdzisław Mac podstępnie porwał mnie i wywiózł na niemal godzinę poza stadion, pozostawiając możliwości stosowania innych niekonwencjonalnych środków obronnych.

K.: — Powinnaś wnieść oficjalny protest.

D.: — Nie lubię skandalizować. Oblecali przyjechać w przyszłym roku, wtedy wyrównamy rachunki.

K.: — A poza tym to wy otrzymanicie ten wspaniały „gwóźdź sezonu” za najlepszą sportową imprezę roku.

D.: — Cieszę się ogromnie i z powodu gwóźdź, i z faktu, że niespodziewanie odkryliśmy wielu wspaniałych, życzliwych nam ludzi i kibiców. Dlatego było kilka „gwóździ programu”: występ Big-Bandu i karateków, żywa kaczka, która od łomżyńskich rolników otrzymała redaktor naczelny za wszystkie kaczki dziennikarskie puszczone w „Kontaktach”. Największą ozdobą imprezy był jednak sędzia Alojzy Jarguz, który z ogromnymi trudnościami, lecz punktualnie, przybył do Łomży prosto z mistrzostw w Zagrzebiu. Zaprezentował ogromny wdzięk, poczucie humoru...

K.: — ...i doskonałą sylwetkę. Panie szalali. Ja też.

D.: — Dlatego zazdrosny o sympatię publiczności Janusz Atlas tak bezlitośnie mu docinał, co zresztą nie zaszkodziło żadnemu z panów. Sumując, piłkarski start „Kontaktów” uważam za niezwykle udany: pierwszy mecz, i już sędziowany przez samego Alojzego Jarguza, a komentowany przez dwie dziennikarskie sławy; wszystko dla wspaniałej, kulturalnej łomżyńskiej publiczności.

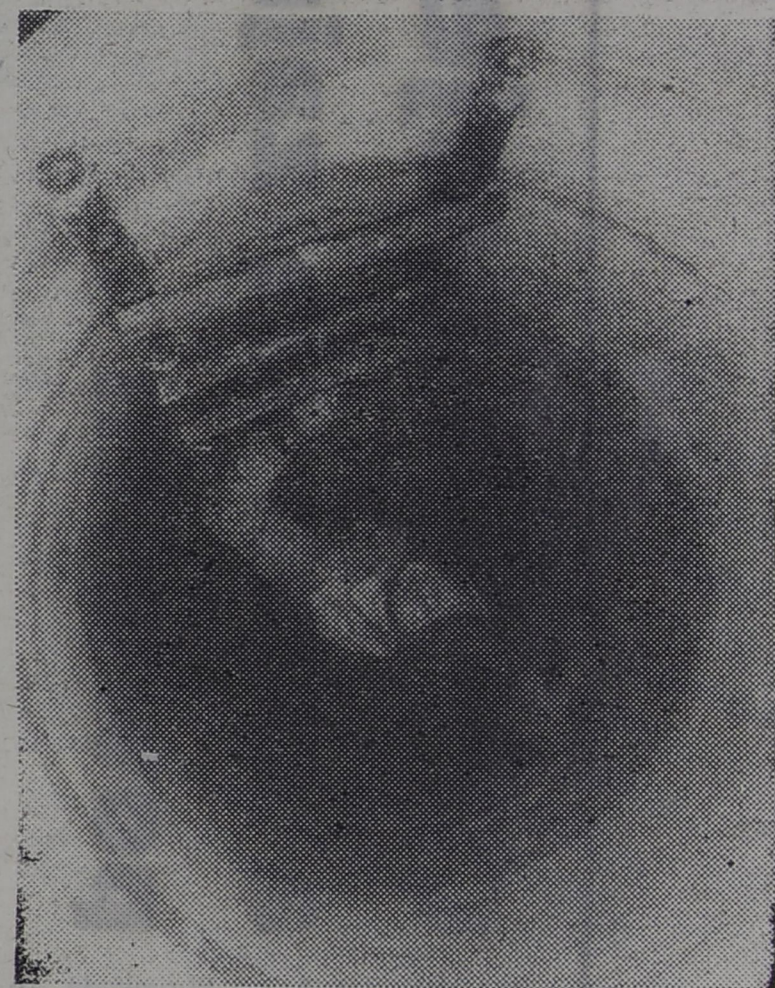
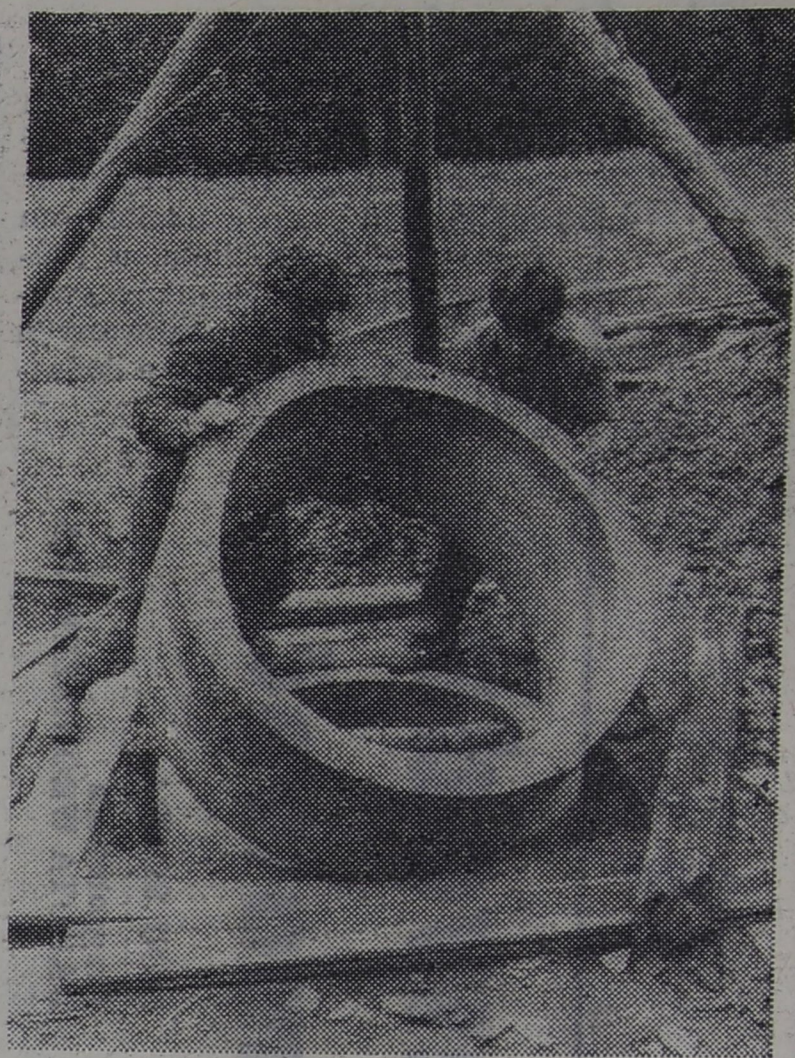
K.: — Oby tak dalej. Dziękuję za rozmowę.





Zawód studniarza właściwie już nie istnieje. Studnie kopią różni ludzie; niektórzy z nich sami ustalają najwłaściwsze miejsce na przecięciu żył wodnych. Sami też leją kręgi, bo nie ufają kupnym, te mogą nie wytrzymać naporu ziemi i popękać.

— U nas na Kurpiach trudno w niektórych miejscach dokopać się wody — mówi Czesław Płona, studniarz z zamilowania. — Jak budowaliśmy studnię przy kościele, musieliśmy dłużyć aż do poziomu Pisy. Suchy rok, woda ucieka coraz głębiej, ale jak się zawezmie, w każdym miejscu do niej się dokopie!



głęboka studzienka

Tekst i zdjęcia
GABORA LORINCZEGO



wojewoda się zajmuje, a czym powinien. Udało się też zająć do notatnika wojewody, a w najbliższym czasie udzieli on „Kontaktom” wywiadu, w którym zdradzi kilka tajemnic swego urzędu. Zainteresowanych niedowiarków prosimy o dodatkowe pytania.

co robi wojewoda a czym się zajmować powinien

MINI SONTA
Przygotowała
DANUTA WRONISZEWSKA

MAREK, lat 8: — Wojewoda to taki pan, co rozkazuje innym. Na przykład każe im wymyślać jakieś przepisy.

ANDRZEJ, lat 12: — Wojewoda powinien dbać o dorosłych i o dzieci też. Zeby zeszyty nie były na talony. Musiałem podrobić talon, boby mi na cały rok nie starczyło i ja bym dostał dwóję, a nie wojewoda. W piłkę też już grać nie mogę, bo tenisówek nie ma, a tata mówi, że to nasz wojewoda tak rządzi.

BOGDAN, lat 17: — Powinien działać tak, aby u nas było nie gorzej niż w innych województwach. Widzę, że nie bardzo mu wychodzi; powinien zrezygnować. Może nie jest niezastąpiony?

GRZEGORZ, lat 19: — Nie wiem, czym się wojewoda zajmuje, nie interesuje mnie to, a właściwie nie mam czasu na takie dociekania. Myślę, że (jak każdy z nas) ma jakiś przydział obowiązków, który powinien realizować.

MALGORZATA, lat 20: — Znam go tylko z „Kontaktów”, więc coś nowego mogłabym o nim powiedzieć?

MARIA, lat 25: — Nie powinien zajmować się np. rozdzielnictwem papieru toaletowego, bo to nie ten szczebel. Nie może też przyjmować ludzi skarżących się na to, że nie zarejestrowano ich do dentysty lub wypchnięto z kolejki. Nie powinien tak bardzo żyć sprawami prezydenta i naczelników, a skupić się głównie na problemach wymagających koordynacji na szczeblu wojewódzkim.

MAREK, lat 27: — Powinien dbać szczególnie o służbę zdrowia, szeroko pojęte zaopatrzenie i gospodarkę komunalną. Trudno mi powiedzieć, czego nie powinien robić, skoro nie wiem dokładnie, czym się zajmuje.

MAREK, lat 30: — Powinien umieć dobrać sobie zespół ludzi o odpowiednich kwalifikacjach i szczególnych predyspozycjach; być czło-

wiekiem wymagającym, stanowczym, nawet autokratą, lecz mieć zaufanie do ludzi, których obdarzył władzą; zaufanie ograniczone, gdyż jednocześnie powinien skrupulatnie oceniać ich pracę, nie wkraczając jednak z interwencjami w stadium koncipowania lub realizacji. W przeciwnym razie jego podwładni nigdy nie nauczą się samodzielnego myślenia i działania. Musi też cieszyć się zaufaniem i szacunkiem szczebla centralnego (a szczególnie teraz korzystny klimat w Warszawie jest wręcz niezbędny). Powinien zdobywać się na samokrytykę i mieć

jak ma je znać, skoro rzadko bywa w gminach. A powinien bezpośrednio porozmawiać z rolnikami, miałby wtedy informacje z pierwszej ręki. Dowiedziałby się, co ludzie myślą o jego pracownikach, którzy niejednokrotnie nie są pewni, czy dobrze zrozumieli rozporządzenie. Uważam, że wojewoda powinien kontrolować ceny, bo są skandalicznie zawyżone, oraz wprowadzić zwyczaj wspólnego dyskusowania (na sesjach, zebraniach, w prasie) nad tematami dotyczącymi większych inwestycji, pochłaniających nasze pieniądze.



odwagę wyciągania się z własnych, błędnych czy pochopnych, decyzji. Myślę, że dobrze by było, gdyby w jednej kieszeni nosił „Traktat o dobrej robocie”, a w drugiej „Rozważania o życiu godziwym”, gdyż na tym i na innych szczeblach władzy sprawne zarządzanie jest równie ważne, jak sfera etyczna.

KRZYSZTOF, lat 31: — Myślę, że nasz wojewoda pracuje dobrze. Nie zajmuje się każdym problemem, każdym interesem osobistym, lecz odsyła do odpowiednich osób: wice-wojewodów i dyrektorów. Podział kompetencji jest ścisły, każdy ma swoją działkę. Inaczej mógłby się pogubić w chaosie spraw ważnych i drobiazgów. On jest od koordynowania i reprezentacji, a nie od załatwiania. To bardzo skrupulatny, a jednocześnie ogromnie taktowny gość. Podoba mi się, że nie jest dyktatorem, lecz rządzi kolektywnie.

JERZY, lat 34: — Przede wszystkim powinien mieć więcej niż dotychczas kompetencji w rozstrzyganiu spraw województwa.

STANISŁAW, lat 35: — Powinien być faktycznym gospodarzem terenu. Więcej myśleć, mniej siedzieć w ogólnikach, przepisach, być bardziej organizatorem niż biurokratą; działać rzeczywiście, a nie pozornie. Nie ograniczać się do sypiania w dół decyzji odgórnych, lecz podejmować własne, śmiałe i sensowne, rozwiązania.

JANUSZ, lat 35: — Nie powinien poświęcać uwagi sprawom drobnieszym, które leżą w kompetencji i zakresie działania jednostek gospodarczych i społecznych oraz naczelników. Mieć większy wpływ na administrację gospodarczą, która bardzo się usamodzielniała do słynnych trzech „S” dodała czwarte: samowolę.

MICHAŁ, lat 37: — Nazywają go gospodarzem terenu, więc powinien znać województwo tak, jak każdy rolnik swoje gospodarstwo. Tylko

WŁADYSŁAW, lat 44: — W ramach reformy usamodzielnili się nieco przedsiębiorstwa, a teraz, moim zdaniem, kolej na organa administracyjnego pierwszego stopnia. W istniejącym układzie wojewoda wkracza w kompetencje prezydenta, przez co proces realizacji decyzji powolnie, sprawy się rozmydla, aparat Urzędu Wojewódzkiego puchnie, a ludzie dalej są źle załatwiani.

JERZY, lat 45: — Wiem, że zajmuje się absolutnie wszystkim, choć nie powinien zastępować w pracy swoich ludzi.

JERZY, lat 46: — Powinien znać i rozwiązywać problemy mieszkańców województwa, np. zadbać o zaopatrzenie (łomżyńskie jest jednym z gorzej zaopatrzonych województw), uprzyjemniać ludziom życie (np. zbudować basen dla dorosłych), czuwać nad tym, aby nie było tak nieprzemysłanych inwestycji, jak słynne Jeziorko, czy też wydłużonych, jak grajewska proszkownia mleka. Powinien rozstrzygać problemy sporne między przedsiębiorstwami (u nas dyrektorzy latami nie mogą się z sobą dogadać), a nie zajmować się drobiazgami: podpisywaniem papierków na zakup klamek, skarpet czy piecyków.

WŁODZIMIERZ, lat 50: — Powinien organizować pracę Urzędu oraz koordynować działalność instytucji i firm w województwie. Pod pojęciem „organizować” rozumiem nie tylko wydawanie dyspozycji, lecz i kontrolę ich wykonania. Nie powinien natomiast zastępować w pracy naczelników i dyrektorów wydziałów.

ELŻBIETA, lat 54: — Wojewoda nie może zajmować się plotkami, donosami. Powinien mieć na względzie dobro województwa, a nie swojej klikki. Nie wiem, czy nasz wojewoda ma swoją klikę, ale niemal każdy prominent ma swoich ludzi, dzięki którym dochodzi do władzy i potem się przy niej utrzymuje.

STANISŁAW, lat 55: — Wojewoda musi rozwiązywać palące kwestie dnia codziennego. Nigdzie od nich nie ucieknie. A czasy są tak ciężkie, że pracy mu nie zbraknie. Szczególnie że sprawność działania administracji, choć tak długo się ją poprawia, nadal pozostawia wiele do życzenia.

WŁODZIMIERZ, lat 63: — Powinien być dobrym organizatorem i jeszcze lepszym kontrolerem pracy swych urzędników. Nikt nie słyszał tylu skarg na ślamazarność, indolencję, brak fachowości i łapownictwo urzędników. Jeśli wojewoda nie będzie miał dobrej kadry, nie uniknie kłopotów. Swoją drogą: źle pojęta demokracja również utrudnia mu pracę, bo ludziska pchają się z każdym drobiazgiem osobiście do najważniejszej osoby.

FRANCISZEK, lat 84: — Jako przedstawiciel władzy państwowej musi, we współpracy z władzami politycznymi, zaspokajać potrzeby gospodarcze i kulturalne społeczeństwa. Powinien być dobrym planistą i prognostą, przewidującym kierunki rozwoju potrzeb, orędownikiem sprawiedliwości, która, jak wiem z własnego doświadczenia, wymagałaby również na szczeblu wojewódzkim wsparcia jakiegos „trybunału sprawiedliwości”.

z kalendarza wojewody

18 VIII, godz. 7.30—10.30. Cotygodniowa wizytacja placówek handlowych. Uwagi: przekazać dyr. Handlu uwagi o nieprawidłowej podaży mrożonek. **Godz. 11.00—15.00.** Ocena realizacji planu inwestycyjnego województwa za siedem miesięcy (z przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Planowania i dyr. WZ Budownictwa). Uwagi: poważna część zadań, niestety, opóźniona. Konieczne dalsze interwencje w sprawie dostaw mat. budowlanych.

19 VIII, godz. 8.00—12.00. Ustalenie zadań zabezpieczających wykonanie rocznego planu bud. mieszkaniowego (dyr. WZ Budow. i WDRMiOW). Uwagi: zagrożenie wydaje się być odsunięte, najtrudniej z przydziałem stali. **Godz. 12.00—15.00.** Rozmowa z wiceministrem Handlu i Usług: problemy zaopatrzenia rynku. Uwagi: gwarancja jedynie częściowej poprawy w dostawach obuwia, odzieży i konfekcji.

20 VIII, godz. 8.00—11.00. Spotkanie z dyrektorami wydziałów — usprawnienia organizacji pracy w urzędach miast i gmin oraz wydziałach UW. Uwagi: wykorzystanie materiałów pokontrolnych z inspekcji wojskowych innych województw okazało się bardzo pomocne dla samokontroli. **Godz. 11.00—13.00.** Problemy budownictwa dróg — z dyr. dep. Ministerstwa Komunikacji. Uwagi: uzyskałem zapewnienie zwiększenia budowy dróg w przyszłym roku. **Godz. 13.00—15.00.** Przyjmowanie interesantów. Uwagi: frapujący przypadek przegranej przez obywatela sprawy w Najwyższym Sądzie Administracyjnym o prowadzenie wodociągu przez jego ogród. Z ludzkiego punktu widzenia miał rację.

21—22 VIII. Wyjątkowo wolne.





23 VIII, godz. 9.00—11.00. Rozliczenie postępu pomocy pogorzelcom z Jankowa — dyrektorzy i prezesi: Wydziału Rolnictwa, WZSR, Wydziału Zdrowia, WZIR, Biuro Planowania Przestrzennego, naczelnik miasta i gminy Nowogród. Uwagi: realizacja bez zastrzeżeń. **Godz. 12.00—13.30.** Posiedzenie kierownictwa Urzędu Wojewódzkiego. Uwagi: ponownie przeanalizować problem obciążeń gosp. indywidualnej, rozpatrzyć skargi: jedną mieszkaniową i trzy — przydziału środków produkcji dla rolników. **Godz. 17.00—20.00.** Telekonferencja z ministrem Rolnictwa. Uwagi: udało się jednak ustalić sensowną cenę ziemniaka.

24 VIII, godz. 9.00—10.00. Spotkanie z redaktorem naczelnym „Kontaktów”, St. Zagórskim — nagroda im. Z. Glogera, limity benzyny, Fundusz Twórczości dla Dzieci. Uwagi: pozytywnie udało się załatwić wszystkie postulaty. **Godz. 10.30—11.30.** Ocena działalności Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego z dyr. Gosiewskim. Uwagi: koniecznie przyspieszyć uzbrojenie terenów, podjąć budowę wodociągu w Nowogrodzie. **Godz. 13.00—15.00.** „Dyspozytorka” rozliczająca dziesięciu prezesów najsłabiej pracujących GS-ów. **Godz. 17.00—19.00.** Telekonferencja z wicepremierem J. Obodowskim. Uwagi: problemy rolnictwa i skupu

25 VIII, godz. 8.00—13.00. Sprawy bieżące: korespondencja, zatwierdzanie lub podejmowanie bieżących decyzji, interwencje moje i u mnie. Uwagi: skarga obywatelki z Andrzejewa na naczelnika i obywatelki z Łomży — na posiedzenie mieszk. **Godz. 13.00—22.00.** Posiedzenie WKO: 1) ład, porządek, bezpieczeństwo publiczne, 2) ocena przebiegu zniw i wielkości zbiorów oraz działalność jednostek odpowiedzialnych za skup zboża i ziemniaków, 3) wybrane problemy gospodarki mieszkaniowej, 4) ocena załatwiania skarg i wniosków obywateli przez admin. państw. i gospod. Uwagi: szerzej propagować te zagadnienia na spotkaniach z załogami i przez prasę.

26 VIII, godz. 7.30—13.00. Sprawy bieżące z dyrektorami i KW (WSS, WKP, Sekr WKO, KOiW). **Godz. 13.00—14.00.** Rozmowa z red. Wroniszewską: specyfika krytyki prasowej i reakcji na nią. **Godz. 16.00—18.00.** Spotkanie z przedstawicielem wojska. Uwagi: nie doszło do skutku

plan zajęć na najbliższe dni

27 VIII, godz. 7.30—10.00. Dyspozycje bieżące. Udział: dyr. Wydz. Finansow., BOPIK. **Godz. 10.00—12.00.** Koncepcja reorganizacji hurtu spożywczego. Udział: przedstawiciele Minist. HWiU i CSS „Społem”, dyr. WKiU, WSS.

28 VIII, godz. 7.30—10.30. Sprawy bieżące, ocena i akceptacja koncepcji rozszerzenia sieci sklepów pra-

cujących w wolne soboty. Udział: dyr. WKiU, dyr. pionów handlowych. **30 VIII, godz. 9.00—11.00.** Posiedzenie kierownictwa UW. Udział: wicewojewoda, dyr. BOPIK, WKP. **Godz. 11.00—12.00.** Problemy gminy Andrzejewo. Udział: przewodniczący Gminnej Rady Narodowej i przedstawiciele aktywu społecznego. **Godz. 12.00—17.00.** Przyjmowanie skarg i wniosków.

31 VIII, godz. 10.00—14.00. Wizytacja miasta i gminy Szczuczyn. **Godz. 16.00—19.00.** Wizytacja Zakł. Płyt Wiórowych w Grajewie, spotkanie z przedstawicielami załogi.

1 IX, godz. 9.00—12.00. Udział w uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego w Szkole nr 1 w Łomży. **Godz. 14.00—17.00.** Sprawy bieżące.

2 IX, godz. 7.30—9.30. Sprawy bieżące. **Godz. 10.00—15.00.** Udział w posiedzeniu Prez. WRN, ocena wykonania planu społ. gospodarczego województwa za 7 miesięcy br.

3 IX, godz. 7.30—12.00. Kontrola wykonania dyspozycji dot. problemów walki ze spekulacją i bezprawnym bogaceniem się. Udział: dyr. WHiUW, Wydz. Finans., kom. KWMO. **Godz. 12.00—13.00.** Rozliczanie realizacji wniosków problemowych z kontroli placówek pionu WZSR. Udział: prezes Karwowski, dyr. WH i Usług UW. **Godz. 14.00—17.00.** Wizytacja zakładu „Ponar-Biał” w Kolnie i spotkanie z przedst. załogi.

6 IX, godz. 9.00—11.00. Posiedzenie kierownictwa. Udział: wicewojewodowie, dyrektorzy UW. **Godz. 11.00—15.00.** Sprawy bieżące. **Godz. 15.00—17.00.** Spotkanie z aktywnym KW MO. **Godz. 17.00—19.00.** Telekonferencja — posiedzenie Rady Ministrów.

7 IX, godz. 9.00—15.00. Narada z naczelnikami (miast i gmin) oraz dyrektorami jednostek stopnia wojewódzkiego (zadanie wynikające z aktualnej sytuacji społ. gospodarczej województwa).

8 IX, godz. 7.00—16.00. Wizytacja gmin Miastkowo i Zbójna.

9 IX, godz. 6.30—16.00. W-wa, rozmowy interwencyjne u ministra Budownictwa i Przemysłu Mat. Budowlanych oraz ministra Górnictwa i Energetyki.

10 IX, godz. 7.30—10.00. Sprawy bieżące. Udział: dyr. LPB WDRM OW, prezes Sp. Mieszkaniowej. **Godz. 10.00—14.00.** Wizytacja bud. mieszkaniowego na terenie Łomży. **Godz. 14.00—17.00.** Wizytacja funkcjonowania placówek handlowych i usługowych w Łomży. Udział: dyr. WHiU.

Fot. GABOR LÖRINCZY



kontakty kontaktów

5
KONTAKTY
26 IX 1982

Nawiązując do artykułu redaktora Władysława Tockiego „Poza układem”, zamieszczonego w tygodniku „Kontakty” nr 13, Dyrekcja Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” w Łomży wyjaśnia:

Decyzja o zastosowaniu wypowiedzenia zmieniającego warunki pracy i płacy ob. Franciszkowi Michalakowi powzięta została po przeanalizowaniu wyników pracy jego zespołu za okres ostatniego półrocza. Wyniki te jednoznacznie wskazywały na zdecydowanie gorszą pracę ob. Michalaka w porównaniu z innymi mistrzami. Wspomniana decyzja nie mogła być dla niego zaskoczeniem, bowiem zastrzeżenia przełożonych dotyczące pracy były mu przekazywane na bieżąco.

W lipcu br. nastąpiła reorganizacja Wydziału Tkalni. W związku z tym przeszliśmy na pracę w małych zespołach (ze 120 krosien na 36), co spowodowało przeszerzeganie 30 mechaników maszyn na stanowiska mistrzów. Liczba mistrzów wzrosła wówczas do 44 osób. Ob. Franciszek Michalak pozostał na stanowisku mistrza otrzymując jednak, z uwagi na wspomnianą reorganizację, znacznie mniejszy zakres obowiązków.

Na zebraniu Oddziałowej Organizacji Partyjnej, której członkiem jest ob. Michalak, kierownictwo zakładu zobowiązało się do wnikliwej obserwacji i oceny jego pracy oraz przedstawienia wniosków po upływie około 3—4 miesięcy. Zdaniem Dyrekcji taki okres pozwoli na definitywne stwierdzenie czy w dotychczasowej ocenie pracownika nie popełniono błędów.

Dyrekcja ŁZPB „Narew” deklaruje chęć zapoznania się ze wspomnianą oceną redakcji „Kontaktów”.

Mgr inż. TADEUSZ PAŁĘGA
zastępca dyrektora
ds. produkcji

Od autora: W czerwcu tekst „Poza układem” kończyłem akapitem: „Może nawet znowu będzie mistrzem (Franciszek Michalak — przyp. autora). Może nie będzie musiał już włożyć się po komisjach, opowiadać swego życiorysu dziennikarzowi. Tylko że jemu akurat nie idzie wyłącznie o pełną michę, kilkadziesiąt złotych, tytuły. Chodzi mu o irobiaż, o jakim tyle razy już zapomniano. Praktycznie nazywa się on godnością”. Od lipca Franciszek Michalak — posiadający wzorowe dossier z przebiegu swojej trzynastoletniej pracy w ŁZPB „Narew” — rzeczywiście znowu jest mistrzem. Ktoś wpadł na prosty ludzki zarazem sposób: po 3—4 miesiącach ocenimy Twoją pracę i wynik tej oceny zadecyduje — będziesz nadal mistrzem lub nie. Sytuacja jest zatem uczciwa i jasna dla pracownika, jak i przełożonych

Myślę, że teraz, niezależnie od tego, jaka po tych 3—4 miesiącach wypadnie decyzja — przyjemna lub orzykra dla Michalaka — jeśli ocena jego pracy w tym okresie będzie rzetelna, nie będzie on miał do nikogo żalu, nie dojdzie do konfliktu. Tym bardziej więc szkoda, że nikt o takim rozwiązaniu nie pomyślał zanim człowiekowi o nienagannej opinii od razu, po trzynastu latach pracy, wręczył wypowiedzenie. Dziś, być może, o jednego rozgoryczonego byłoby mniej.

Oczywiście końcową deklarację Dyrekcji Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew” przyjmuję i czekam na ostateczną informację o dalszym losie Franciszka Michalaka.



Niezwykle intensywny okres dalszego wszechstronnego rozwoju społeczno-gospodarczego Polski wymaga od naszego Związku bogatego, aktualnego i jasnego programu pracy. Wyższe zadania wymagają wyżej i pogłębianej motywacji działania, upowszechniania przekonań w pomyślność Polski — kraju i narodu. Najczęściej tak właśnie, z okresowymi modyfikacjami, formułuje swe oczekiwania od Związku Harcerstwa Polskiego tzw. chorągwią gwardia. Jakże inaczej określają celowość przynależności do ZHP sami harcerze, spontaniczni i szczerzy w swych wyborach. Ale najciekawsze, i zarazem najmniej znane, wydają się opinie tych, którzy w pierwszej „instancji” oceniają efekty działalności wychowawczej Związku, bacznie obserwując zmiany dokonujące się we własnych potomkach — rodziców. Czego spodziewają się po harcerstwie dla swych dzieci? Sonde, której podstawowym pytaniem było to właśnie, przeprowadziły — przed paru laty — one same, egzekwując od rodziców pisemne wypowiedzi lub notując skrzętnie ich słowa.

*

Mama MALGORZATY STYPUŁ-KOWSKIEJ z Szepletowa: — Sądzę, że to dobra organizacja, wychowująca naszą młodzież i dzieci. Przygotowuje do życia. Dostarcza rozrywek, zabaw. Uczy kultury, dobrego obywatelstwa, gospodarności, solidarności i grzeczności. Sądzę, że wszyscy uczniowie powinni należeć do ZHP. Myślę więc, że macie w przynależności do niego satysfakcję. Spodziewam się, że potraficie pomóc ludziom starszym, osobom kalekim i innym czekającym pomocy; a także i mnie, kiedy będę jej potrzebowała.

LUCYNA SKRODZKA z Gielczyna: — Moja córka chodzi do drugiej klasy, pierwszy rok jest zuchem, i już dostrzegam w niej dużą zmianę: przykłada się bardziej do nauki, ciągle coś czyta, dużo pisze; chce być najlepsza. Twierdzi, że jeżeli będzie lepsza od innych, zdobędzie sprawności, znajdzie się na gazecie, a wszyscy będą czytać i ją chwalić. Po za tym dużo pomaga mi w pracach domowych, robi zakupy w pobliskim sklepie.

ZYGMUNT JASTRZEBSKI z Łomży: — Początkowo, kiedy córka powiedziała, że wstąpiła do harcerstwa, byłem temu przeciwny. Myślałem, że przestanie się uczyć, bo więcej będzie miała zajęć. Teraz jestem zadowolony, bo dziewczyna bardzo się zmieniła: pomaga żonie w zajęciach domowych, jest pilna, nie kłamie, lepiej się uczy, czyli harcerstwo jest dla niej dopingiem, a my nie mamy z nią w ogóle kłopotów wychowawczych.

JADWIGA GRABOWSKA z Gielczyna: — Córka moja należy do harcerstwa od kilku lat. Gdy była zuchem, gorliwie przestrzegała „Prawa zucha” i nawet starszą siostrę próbowała wychowywać. Teraz, jako harcerka, stara się być jeszcze lepsza; pomaga starszym, dba o swój wygląd zewnętrzny, szczególnie w poniedziałek, kiedy jest dzień mundurowy.

Mama EWE USZYŃSKIEJ z Szepletowa: — Jest to organizacja bardzo pożyteczna, ponieważ daje młodzieży kulturalną rozrywkę, zabawę i uczy wiadomości praktycznych. Uważam, że harcerze powinni więcej działać w środowisku szkolnym i w rodzinnej miejscowości, więcej organizować zawodów sportowych i współzawodnictw; np. i częściej nosić mundurki organizacyjne.

Mama BOŻENY GROCHOWSKIEJ z Szepletowa: — Uważam, że ta organizacja ma w środowisku bardzo wielkie znaczenie: kształtuje postawy patriotyczne i społeczne, organizuje młodzież rozrywki, zabawy, uczy i wychowuje.

Rodzice BOGUSŁAWY ŚREDNICKIEJ z Szepletowa: — ZHP oceniamy bardzo wysoko ponieważ jest to organizacja popularna i wesola. Sądzymy że każdy uczeń chciałby zostać jej członkiem. Po harcerstwie spodziewamy się intensywniej działalności oraz powiększenia szeregów.

Mama JOANNY PIEKUTOWSKIEJ z Szepletowa: — ZHP to podstawowa organizacja młodzieżowa, która przygotowuje dzieci do życia w społeczeństwie. Kierowana musi być jednak przez przeszkoloną kadre. Co daje: wychowuje, wyrabia społecznie, uczy szacunku dla Oj-

HARCERSTWO

przygotowała

NINA

OMELCZENKO

jasny promień w ciemności



czyzny i emblematów państwowych, zobowiązuje ucznia do przestrzegania „Prawa harcerskiego”.

Mama EWE GĄSOWSKIEJ z Szepletowa: — Organizacja ta bardzo dużo pomaga starszym osobom, a zwłaszcza samotnym, uczestniczy również w różnych pracach społecznych, organizuje zbiórki makulatu-

ry i złomu. Jesteśmy jej bardzo wdzięczni.

Ojciec EWE PRUSZYŃSKIEJ z Szepletowa: — ZHP jest organizacją młodzieżową o bogatych tradycjach. Ma ona duże zasługi w wychowaniu młodzieży. Uczy ją współpracy w grupie, wyrabia pod względem społecznym, wychowuje na prawych ludzi, dostarcza kulturalnej rozrywki i aktywnego wypoczynku. Żywię przekonanie, że harcerz będzie w przyszłości człowiekiem aktywnym, przedkładaającym sprawy społeczne nad interes osobisty, nie będzie egoistą. Humor i piosenka czyni człowieka pogodnym i życzliwie ustosunkowanym do innych ludzi. Zapobiega to przedwczesnej frustracji i malkontentowi. Życzeniem rodziców jest chyba to, aby plany, jakie zakłada sobie ZHP, były z powodzeniem realizowane.

Mama CECYLII KOSTRO z Szepletowa: — Chciałabym widzieć więcej prac społecznych na terenie naszej miejscowości i występów artystycznych. Powinna działać harcerska służba porządkowa na terenie szkoły i obok przejść dla pieszych.

Rodzice MALGORZATY MAL-KOWSKIEJ z Szepletowa: — Młodzież harcerska staje się użyteczna dla ludzi i kraju. Harcerze pomagają starszym przy pracy w domu i obojętności, organizują obozy i biwaki, często przygotowują występy i zabawy dla starszych, aby mogli oderwać się od pracy i odpocząć. Chcielibyśmy, aby w swojej działalności mniej się popisywali, a rzetelniej pracowali np. opiekowali się samotnymi serdecznie, nie na pokaz.

JADWIGA PIEKUTOWSKA z Nowych Piekut: — Mój syn należy do ZHP od 3 lat, z czego jestem bardzo zadowolona. Wiesiek jest zdyscyplinowany i posłuszny. Wyjeżdża na obozy wędrownie, biwaki, wraca zadowolony i opowiada swoje wrażenia. Córka zaś należy do zuchów, z czego też się cieszę, bo widzę, że zaczyna się usamodzielniać. Myślę, że należąc do tych organizacji uczą się mądrze żyć.

cerstwo rozwija u dzieci różne predyspozycje społeczne. Po przyjęciu do drużyny zuchowej moja córka chętnie pomaga mi w pracach domowych i zgodnie bawi się z młodszym rodzeństwem. Często opowiada mi o zdobytych sprawnościach indywidualnych i zbiorowych. Otrzymała już pierwszą gwiazdkę!

BOŻENA KONOPKO z Nowych Piekut: — Od roku moja córka należy do ZHP. Zawsze widzę ją zapracowaną. Jest wielką społecznicą. Pomaga kolegom w nauce, za co dostała niedawno wyróżnienie. Założyła swój własny ogródek. Chce być samodzielną. Chętnie uczęszcza na prace Kółka Robótke Ręcznych. Potrafi już sama gotować i wykonać wiele prac w gospodarstwie. Jest zawsze wesola, bo ma jakieś zajęcie. Sądzę, że działalność w ZHP daje jej wiele satysfakcji. Dzieli się ze mną każdym problemem, choć czuje się wówczas „nieszczęśliwa”, bo sądzi, że powinna być bardziej samodzielną.

BARBARA WYSOCKA z Nowych Piekut: — W ramach ZHP działa Klub Wiedzy Społeczno-Politycznej. Mój syn jest członkiem tego klubu; może w nim pogłębiać swoje zainteresowania. Mówi, że harcerstwo daje mu pojęcie o świecie, o toczących się wydarzeniach, pomaga w nauce. Uważam, że taka organizacja, jak harcerstwo, jest bardzo naszym dzieciom potrzebna.

LUCYNA KRAMKOWSKA z Nowych Piekut: — Moja córka wynosi z organizacji wiele. Uczy się pracy w zespole, bezinteresowności i samodzielności. Jest przybożną w jednej z młodszych klas i tam uczy się postępowania z młodszymi kolegami. Chce, by córka nadal pracowała w ZHP, mimo że przychodzi z zbiórek dość późno.

HENRYKA MIKUCKA z Nowych Piekut: — Mój syn jest licealistą i należy do harcerskiej HSPS. Do domu wraca bardzo późno, nieraz o godz. 21.00; jest bardzo zmęczony, ale i zadowolony. Po zjedzeniu kolacji opowiada mi, jak mu poszło z puszczaniem samolotów czy balonów. Gdy mu coś nie wychodzi staram się go jakoś pocieszyć. Widzę jednak, że z pracy w tej organizacji jest zadowolony, a gdy mój syn jest zadowolony, ja jestem również zadowolona.

MARIA BEDNARSKA z Czyżewa: — ZHP uczy pozytywnej, społecznej postawy już od najmłodszych lat. Mobilizuje harcerzy do osiągnięcia dobrych wyników w nauce, zachowaniu, uczy współzawodnictwa w kolektynie. Wpaja młodzieży te zasady, jakie powinien mieć dorosły człowiek — światły obywatel, Polak, patriota, dbający o dobro całego narodu.

STANISŁAWA SERAFIN z Grabowa: — Wychowałam troje dzieci, cała trójka należała do ZHP. Mieszkamy na wsi. Atrakcji dużo w tym środowisku nie ma. Gdyby nie ZHP, dzieci moje nie miałyby możliwości ciekawego spędzenia wolnego czasu. Dzięki harcerstwu dzieci moje nauczyły się samodzielności i stały się ludźmi zaradnymi. Nauczyły ich tego biwaki i obozy harcerskie. Dzieci moje zadowolają się z harcerstwa, bo miały szczęście do Instruktorów, ludzi całym sercem oddanych organizacji i młodzieży.

GENOWEFA DOLIŃSKA: — Moja córka jest harcerką, z czego jestem bardzo zadowolona. W ramach organizacji ZHP działa wiele klubów, kółek zainteresowań, które pogłębiają wiedzę. Córka moja należy do kółka wikliniarskiego. Bardzo chętnie chodzi na zajęcia, bo wie, że to, co robi, jest pożyteczne. Wykonuje ładne koszyki i inne plecione wyroby. Stała się teraz dziewczyną zdyscyplinowaną, punktualną i bardziej staranną.

NAUCZYCIEL z Grabowa: — Nie wyobrażam sobie szkoły bez harcerstwa. W naszej liczmy głównie na harcerstwo. Tu kształtujemy „duś” dziecka, uczymy samooceny, krytycyzmu, współzawodnictwa z kolegą, koleżanką, z grupą. Wyrabiamy pewność siebie, poczucie własnej godności, uczymy pokonywać pierwsze trudności w życiu, które w pełnoletności się piętrzą. Harcerstwo to przygoda, obóz, piosenka, uśmiech na twarzy, pogoda ducha, jasny promień w ciemności. W pracy harcerskiej, rodzą się nieprzebrane inicjatywy, pomysły, wrażliwość, mocniej bije serce. Trzeba tylko umieć pracować z harcerzami, mieć duszę harcerską.

Fot. CAF

FRANCISZKA MYSTKOWSKA z Nowych Piekut: — Mój Waldek już drugi rok należy do drużyny zuchowej. Zbiórka zuchowa to dla niego najwspanialsza rzecz i z niecierpliwością czeka na wyjazd na zuchowe kolonie.

KRYSTYNA ŁOPIEŃSKA z Nowych Piekut: — Uważam, że har-

Późnym wieczorem, gdy już łomżyńskie domy toną w ciemności, a ich mieszkańcy — w głębokim śnie, po betonowych płytach chodnika stąpają powoli człowiek z koltem przy boku i w dużym kapeluszu na głowie. Ogląda zamki sklepów, sprawdza kłódki, lustruje okna wystawowe. Zagląda do „Kameralnej”, „Bony”, „Poloneza”, pociąga za klamkę baru „Tramp”. Dokładnie obchodzi stojące na dworcu PKS-u autobusy, przeciera polą zakurzone miejsca. A gdy poczuje zmęczenie, wstępuje do wraka autobusowego i na poszarpanych przez łomżyńską łobuzerię siedzeniach zasypia twardym snem człowieka sprawiedliwego, w poczuciu spełnionego obowiązku. A ten obowiązek to — bezpieczeństwo miasta i ludzi, którzy w nim żyją w spokoju dzięki opiece Szeryfa.

Ciężka to służba; a zaczął ją od przypadku. Któregoś dnia spotkał znajomego porucznika z Komendy Miejskiej i ten — doceniając jego zaniepokojenie bezpieczeństwem miasta oraz chęć roztoczenia nad nim opieki — wydał Szeryfowi pozwolenie na zakupienie kolta i przypięcie gwiazdy. Bardzo się wówczas słowami porucznika przejął; chciał protestować, a przynajmniej prosić o czas do namysłu, ale rozmówca wręczył mu już zwitek papieru, na którym jak wół było wypisane (odręcznie, lecz drukowanymi literkami): „Pozwolenie na broń”. Na drugiej stronie widniało ważne upoważnienie: „Upoważniam do bezpłatnych przejazdów autobusem z Nowogrodu do Łomży i w kierunku odwrotnym”. Wprawdzie pod dokumentem widnieje bardzo nieczytelna pieczęć, ale Szeryf honoruje ją, bo to przecież podstawa jego służby. Przypiął do niego swoją podobiznę w stroju służbowym i okazuje pracownikom poczty, kiedy chce sprawdzić skuteczność zamków, kelnerkom łomżyńskich lokali, ekspedientkom.

Jego służbowy uniform jest uniwersalny: można w nim i spać, i dyżurować, a stanowi go strażacka bluza, udekorowana piecioramienną gwiazdą z podobizną „Bonanzowego” Horsa.

O swoim patronie nie wyraża się inaczej niż: „Mój kochany przyjaciel Horsa”, a jego rozlane oblicze raz po raz przeciera suchą szmatką, podobnie jak rogi gwiazdy, która błyszczy już z daleka.

Szeryf jest niepozornym człowiekiem: małym, cichym i wobec wszystkich życzliwym. Kiedy mu brakuje kontaktu z ludźmi, ich dobrych, serdecznych słów, które wielokrotnie wystarczają mu za rodzinny dom i gorącą strawę, zmierza do parku przy Urzędzie Poczтовым, aby spłukać się z taksówkarzami. Zapali wówczas papierosa, da wykład o koltach (kiedy można strzelać z kapiszonów, a kiedy z korków), opowie, jak schwycił złodzieja samochodu przed „Polonezem”, popyta o ich zdanie na temat spokoju w mieście. A jak się dowie, że któryś rejon jest w jakis, choćby najmniejszy sposób zagrożony, natychmiast tam podoła. Na rozpedzenie bójk ma wprawdzie tylko jeden, ale bardzo skuteczny sposób: zachodzi bijących od tyłu, wyciąga kolta i głośnym, szeryfowym okrzykiem wydaje komendę: „Ma być spokój w mieście!” Rozjuszona koguty pierzchają na widok broni, gotowej w każdym momencie do strzału. Inni reagują już na sam jego głos, wniekskując, że dopuścili się okropnego przestępstwa, skoro ucisza ich aż sam Szeryf.

Właściciele taksówek niemal uwielbiają swego dostojnego przyjaciela, może nawet nie w mniejszym stopniu niż on Horsa. Dziś, po latach zażyłych kontaktów, nawet nie są w stanie powiedzieć, kiedy się one zaczęły.

— Przychodzi do nas, jak do swoich. Gdy ma rozpadające się buty, kupujemy mu następne. Gdy słyszymy, że jego żołądek piszczy z głodu, dajemy kilka banknotów i wysyłamy do najbliższego baru na dobrą zupę.

Szeryf jest tak skrupulatny, iż każdy darowany mu grosz pragnie wydać zgodnie z życzeniem ofiarodawcy. Zawsze pyta: „A co ja za to mogę kupić?”

Tylko łobuzy, co nie potrafią uznanować człowieka, próbują czasami podrywać autorytet Szeryfa i rozgłaszać po mieście fałszywe plotki, że np. nie zna się na pieśniach. On na takie bezczesne słowa, wypowiedziane bezpodstawnie, po-

prostu nie reaguje, a wyśmiewających się z niego nie traktuje poważnie. Udaje, że nie słyszy ich złośliwego gadania, przechodzi do innego tematu, a jeśli to nie pomaga, wymierzona w niego złośliwość zabija serdecznym śmiechem, któremu ulegają nawet najwięksi złośliwcy. Wybaczają bardzo łatwo, bo wiele

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

szeryf jest tylko

jeden

wycierpiał w dzieciństwie, dręczony przez swego ojczyma.

Ludzie mówią, iż przybrany rodzic chciał z chłopca „zrobić człowieka” i zabrał się do tego przedsięwzięcia bardzo energicznie, nie przebiegając w metodach. Na przykład: przywiązywał do drzewa łańcuchem i trzymał tak całymi godzinami, aż mu charakter zmienił, a gdy ten stał przy swoim, kopał go i bił niemiłosiernie. Sąsiedzi pamiętają sine ręce przyszelego opiekuna Łomży i Nowogrodu. Wiedzą skąd wzięły się jego spłoszone uszy i nos.

Gdy tylko mógł samodzielnie stanąć na nogach i rozróżnić strony świata, udał się na krótko do swojej siostry, a potem przed siebie, w kierunku Choroszczy. Tam zdobył zawód, z którym rozstał się jednak na zawsze. Choć nikt tego nie chce potwierdzić, otrzymał tam też rentę inwalidzką. Zresztą, od kiedy został szeryfem, sam się także do niej nie przyznaje.

Zaskakuje mnie jego słowność i rzetelność. Jeśli się z kimś umówi, to — pomimo bardzo wielu obowiązków i zaskakujących sytuacji — przyjdzie choćby o północy. A ma rzeczywiście pełne ręce roboty. Kiedy szukałem go w szpitalu, bo to też szczególnie obiekt jego troski, mówiono mi tam, że przed chwilą wyruszył w kierunku dworca autobusowego; na dworcu dowiedziałem się, że właśnie poszedł albo do „Poloneza”, albo do piekarni przy ulicy Nowogrodzkiej. Złapałem go wówczas na rozmowie z kioskarką: przepytawał ją, czy nie gina gazety oraz dziecięce zabawki. Gdy zauważył, że jedna z szyb nie przylega do oprawy, krążył wokół kiosku tak długo, aż zostało wstawione nowe szkło.

Umówiliśmy się w redakcji, tuż obok Muzeum Demonów. Szedł tu chyba z półtora tygodnia, ale w końcu przybył, i to o sześć godzin wcześniej, jakby chciał w ten sposób odrobić zaległości wobec obietnicy. Od razu spojrzał po diabelskich twarzach i stwierdził, że wszystkie zna, a nawet czasami gdzieś widuje. Żyje z nimi w zgodzie; ani on nie depcze im po piętach, ani oni mu nie przeszkadzają.

— Ale z diabłami lepiej spokojnie — powiedział — póki są spokojne, bo nie można przewidzieć, jak zareagowałyby na strzał z mojego kolta. Znam szeryfa, który do nich strzelił; wyrosły mu na pięcie rogi i nie może chodzić, a w uszach słyszy tylko otumaniający diabelski śmiech.

Łomżę zalicza do grodów położonych malowniczo, ale nie chce (czy nie potrafi) czystością sprostać temu położeniu. Na pulwach nadnarwiańskich próbował ujeździć rumaka, którego kiedyś przypadkiem udało mu się złapać. Może już od tamtego czasu jeździłby wierzchowcem, ale koń potknął się o wysypisko i Szeryf spadł z jego karku. Zmienił zamiar i swój nowogrodzko-łomżyński teren najczęściej przemierza pieszo. Czasami skorzysta z autobusu, lecz musi być wtedy już bardzo zmęczony.

Nade wszystko dba o swój szeryfowy honor. — Tę powinność — mówi — pełnię tylko ja jeden. Jest jeszcze szeryf w Warszawie, ale tamten rządzi się swoimi prawami. Kiedy próbowałem go poznać, odebrał mi kolt i

chciał jeszcze wsadzić do więzienia za łamanie jego rozporządzeń.

Miał kiedyś w Łomży do pomocy dwóch ludzi, ale na psy zeszedł: zaczęli gustować w alkoholu i to przyspieszyło ich zgon. Teraz — sparzony — dmucha z dala na zimne. Nie przyjmuje nikogo do współpracy, ale za to niczego nie musi się obawiać.

Nie zrezygnowałby z godności Szeryfa. Ma dużo pracy, ale i satysfakcji niemało. Jest człowiekiem bez obaw, któremu — nawet w takiej kameralnej Łomży — nie zależy na układach. Nie zna więc prezydenta miasta, komisarza, a także wojewodów.

— Ja w drogę — oświadcza — im nie wchodzę, oni mi też nie. Ale do brze by było, gdyby, jeśli ja pilnuję

Zanim jednak wybierze się na spotkanie, umyje twarz w wodach Narwi i przejrzy w ich lustrze, a potem posłucha odgłosów życia Łomży i Nowogrodu. Gdy nie usłyszy w nich niczego podejrzanego, zapomina o całym Bożym świecie: jest tylko rzeka, Jola i on. Czasami, gdy długo nie może się z nią spotkać, odwołuje się do swojej wyobraźni i rozmawia z Jolą w myślach. Złośliwcy twierdzą, że szeryf ma rozdwojenie jaźni, bo prowadzi dialogi z samym sobą.

Jest jeszcze jedna osoba, którą darzy ogromnym szacunkiem — matka; jednakże rzadko może ją odwiedzać. Chciałby się do niej nie raz wybrać, ale nie znosi ojczyma, z którym — jak powiada — wziął rozbrat raz na zawsze. Gdy wie, że jego życiowy przeciwnik udał się do pracy, chyłkiem wpada do matki, nie na dłużej jednak, niż na dwie-trzy godziny. Pośpiech ten tłumaczy obowiązkami: — Jeśli już jestem szeryfem, muszę pilnować spokoju!

Przeważnie na noc zatrzymuje się tam, gdzie zmorzy go sen. Podczas ubiegłej zimy sypiał w piekarni przy ulicy Nowogrodz-



spokoju, oni przynajmniej zadbał o porządek. Nie powiedziałbym, że Łomża jest brudna, ale i czystości jakoś w niej nie widać. Gdybym miał taką władzę, jak oni, najchętniej rozwiązałbym Urząd Miejski. Wojewódzki i powołał na to miejsce dwóch, wybranych przez siebie, podszeryfów, a na pewno miasto i województwo żyłyby lepiej niż teraz. Pensje urzędnicze oddałbym tym, którzy ciężko pracują i mają mało grosza.

Nie podarowałby sobie żadnej rezydencji, daczy czy choćby mieszkania ze specjalnej puli. Postawiłby małeńki, jednopokojowy domek nad Narwią, obowiązkowo z drewna, aby mógł w nim coś zjeść i się przespać. Życia swego nie wiązałby z żadną kobietą, niechby nawet najładniejszą. Nie znaczy to, że stroni od płci pięknej. Bardzo ceni rozmowy z nią prowadzone, spaceruje, ale tylko tyle, nie więcej.

— Albo kobieta, albo służba — twierdzi zdecydowanie.

Miał w swoim życiu już dwie kandydatki na żony, ale one się do tego przymierzaly, nie on. Widziały siebie w roli szeryfowych. Z każdym mógłby dzielić władzę, nawet z diabłem, byleby nie z kobietą.

Teraz przechadza się od czasu do czasu z sympatyczną Jolą. Jest to druga miłość jego życia. Chętnie zaglądał do zakładu, w którym pracuje, ale raz dyrektor firmy przepędził go krzykiem, że odstrasza klientów. Szeryf, jako ambitny człowiek, nigdy już tam się nie pokazuje, a w mieście ludzie gadają, że dyrektor jest zazdrosny, bo sam ubiega się o względy panny Joli. Jednak, Szeryf nie chce stracić swojej kobiety: szefa firmy wyzwie na pojedynek w stylu amerykańskim. Póki co, umawia się z Jolą pokątnie, kiedy już obejdzie miasto i stwierdzi, że może trochę czasu poświęcić jej i sobie.

kiej. Zaprzyjaźnił się wtedy z kierownikiem tej firmy. (Gdy dowiedział się, że grozi mu zwolnienie, przyszedł do jego pomieszczenia i długo płakał jak dziecko. Łzy szeryfa pomogły: kierownik pracuje do dziś). Tu zaopatrywał się w chwilach zdenerwowania w papierosy czasami przegryzał kłopot świeżą bułką, pogawędził o nocnych przeżyciach Łomży i Nowogrodu i wyruszał w dalszą drogę.

Gdyby kursował kolejka wąskotorowa, od razu wziąłby ją pod swoją pieczę. Żałuje jej nie mniej niż Horsa, bo było w niej też coś z „Bonanzy”.

Gdyby kursowała kolejka wąskotorowa, nigdy bym z Łomży się nie ruszył, lecz jej pilnował. Tylko trochę zabrakło mojemu nadzoru, już dopuścili się takich głupstw. Kolejka im przeszkadzała! Jak Łomży nie będę pilnować, to samo zrobią z tym pięknym miastem, co z kolejką. Powiedzą: to się nie opłaca, brakuje nam pieniędzy, no i rozdrapią dom po domu.

Wprawdzie nie ma zegarka, ale wyczuwa swój czas odejścia. Jeszcze musi wpaść do szpitala — sprawdzić, czy jest spokój, i na dworzec, bo może kierowca krzyczy na wsiadających do autobusu, a ci nie potrafią się obronić. Potem zrobi dzienny obchód sklepów. Jeśli zdąży, wpadnie do piekarni podzielić się wrażeniami z dzisiejszego dnia albo na papierosa do przyjaciół taksówkarzy. Gdy starczy jeszcze sił i dnia, odwiedzi pana porucznika w Komendzie Miejskiej, który potwierdzi ważność pozwolenia na kolt i upoważnienia na przejazd autobusem z Łomży do Nowogrodu i z powrotem. A może stać go będzie na gest i przedłużyć przejazd aż do... Myszynca?

Fot. GABOR LÖRINCZY

postaw



mądrości

poselskie

1919

Opisany i dobry czyn daje blagie uczucie zadowolenia, którego żadne inne zastąpić nie może.

Wincenty Baranowski

Otłary i dobry czyn daje blagie uczucie zadowolenia, którego żadne inne zastąpić nie może.

WINCENTY BARANOWSKI
poseł ziemi kaliskiej

Zjednoczenie naszych dzielnic i wszystkich ziem polskich w jeden państwowy organizm wtedy da Wielką i Majestatyczną Polskę, kiedy rozum, wola i serca nasze zespolą się w jedno mocarne bóstwo: Duch polski... który w słonecznych promieniach kultury chrześcijańskiej poprowadzi synów tej ziemi w ich pracy, walce i cierpieniach do szczęścia i chwały....

X. Z. Sedzimir
poseł ziemi częstochowskiej

Zjednoczenie naszych dzielnic i wszystkich ziem polskich w jeden państwowy organizm wtedy da Wielką i Majestatyczną Polskę, kiedy rozum, wola i serca nasze zespolą się w jedno mocarne bóstwo: Duch polski [...], który w słonecznych promieniach kultury chrześcijańskiej poprowadzi synów tej ziemi w ich pracy, walce i cierpieniach do szczęścia i chwały [...]

Ks. ZYGMUNT SEDZIMIR
poseł ziemi częstochowskiej

Nie trac nadziei nigdy, nigdy, kto ma wolę ten wszystko pokona.

J. Spickerman

Nie trać nadziei nigdy, nigdy, kto ma wolę ten wszystko pokona.

JOZEF SPICKERMAN
poseł łódzki

Polonia ty nie namiętny wódz, erdy, sen, arcy, Lany promiany studące, posłane, węż, san, wiały reformy polskie, spotać i gospo- dować, orać odnowę starych ludów, w koniencje sta utrwalenie wewnętrznej spójności: dobrobytu Republiki Polskiej, która pod względem postępu powinna stanąć na czele zbratanych ludów Europy.

Marian Malinowski

Polska będzie szczęśliwa wtedy, kiedy znikną z niej próżniacy, złodzieje, paskarze i wyzyskiwacze. Wielkie reformy polityczne społeczne i gospodarcze oraz oddanie władzy ludowi są konieczne dla utrwalenia wewnętrznego spokoju: dobrobytu Republiki Polskiej, która pod względem postępu powinna stanąć na czele zbratanych ludów Europy.

MARIAN MALINOWSKI
poseł lubelski

1982

Prawda, praca i porządek — te idee, które przewijają się jako naczelnie motywy rozlicznych koncepcji wyprowadzania kraju ze społecznych i gospodarczych opresji.

Przychodzi mi jednak często na myśl opinia, którą wyraził ongiś Pasteur: —

Prawda nie lubi gmatwaniny, praca — gadaniny — porządek bieganiny.

Czy wszyscy i zawsze uświadamiają sobie to po trochu żartobliwe, ale jakże trafne spostrzeżenia XIX-wiecznego uczonego.

ZBIGNIEW DĄBROWSKI
poseł białostocki

Największą wartość, jaką możesz z siebie dać, to głos do zgody. Nawet w rodzinie są dni i całe lata, kiedy trzeba zaniechać od najbliższych zadań tego, co oczywiście należy. Socjalizmowi w trudzie — potem procentuje.

Halina Sienkiewicz

Największa wartość, jaką możesz z siebie dać, to głos do zgody. Nawet w rodzinie są dni i całe lata, kiedy trzeba zaniechać od najbliższych zadań tego, co oczywiście należy. Soc-

mentowane w trudzie — potem procentuje.

HALINA SIENKIEWICZ
posłanka łomżyńska

Im więcej demokracji w Sejmie tym więcej demokracji w społeczeństwie. Odnowa Sejmu — warunkiem socjalistycznej odnowy kraju. Takie idee przyniesie Sejmowi PRL VIII kadencji, który stanął na straży realizacji reform oraz stanowi gwarancję odrodzenia i porządku państwa.

J. Grzybowski

Im więcej demokracji w Sejmie tym więcej demokracji w społeczeństwie. Odnowa Sejmu — warunkiem socjalistycznej odnowy kraju. Takie idee przyniesie Sejmowi PRL VIII kadencji, który

stanął na straży realizacji reform oraz stanowi gwarancję odrodzenia i porządku państwa.

JERZY GRZYBOWSKI
poseł białostocki



Gazeta prawdę ci powie o czasie minionym — mówią jedni i z mozołem przeglądają opasłe zsywki; gazeta kłamala „za życia”, to tym bardziej po latach wypacza obraz przeszłości — autorytatywnie przeczą inni. Czytać zatem czy nie czytać? Wierzyć czy nie wierzyć redaktorom popołudniówek, „kurierków”, także oficjalnych organów prasowych? Pytania to ciągle aktualne, ale historyk miewa i cięższe zmartwienie: jak dotrzeć do starych pism prowincjonalnych? A gdy się uda dostać choćby mikrofilmy unikalnych egzemplarzy, to znów trzeba wiele trudu i frasunku, by określić w przybliżeniu wielkość nakładu, składy redakcji, profil tematyczny.

Niestety, w przypadku prasy łomżyńskiej nieosiągalne są często nawet i mikrofilmy pojedynczych numerów. Stało się tak za sprawą wojen, pożarów, zwykłego niekiedy niedbalstwa czy może raczej braku odczuwalnej potrzeby zbierania i przechowywania zdeaktualizowanych czasopism. Dodać koniecznie też trzeba, że choć w przeszłości ukazywały się w Łomży dziesiątki tytułów prasowych, to większość z nich ogłaszała upadłość już po kilku miesiącach lub wychodziła okrutnie nieregularnie. Brakowało środków finansowych, sprawnych „piór”, stałych prenumeratorów.

W listopadzie 1881 r. ukazały się w prasie warszawskiej zapowiedzi nowego tytułu prowincjonalnego: „Echa Łomżyńskiego”. W ten sposób miała zniknąć jeszcze jedna biała plama z mapy orszków wydawniczych Królestwa Polskiego. Nie znamy dokładnie okoliczności zrodzenia się w Łomży nowatorskiego i ambitnego pomysłu. Redaktorem został magister praw, znany tu i ceniony społecznie, Wiktor Szumański. Tygodnik wychodził w każdy wtorek,

poczynając od stycznia 1882 r.; redakcja znalazła pomieszczenie przy ul. Dwornej. Szacowna „Niwa” oceniała, że „Echa” ma druk wyraźny, papier dobry, korektę staranną. Zamieszczona w nim korespondencja z miast guberni łomżyńskiej, Warszawy, Płocka, Suwałk. Było też sporo ogłoszeń, nowel i opowiadań oraz komentarzy. Redakcja gromiła nadmierny sentyment rodaków do gry w karty, przesadną gorliwość władz carskich (podczas kontroli celnej na stacji Grajewo trzeba było zdejmować buty), ułomności biurokratów i miejscowych dygnitarzy, analfabetyzm, pasywność grup społecznych, w tym także „sfer inteligentnych”. Trafiały się plotki i ploteczki, często (za często?) gościły na łamach „Echa” przedruki.

Wiernym czytelnikiem „Echa Łomżyńskiego” był Zygmunt Gloger. W 1882 r. umieścił tu sześć korespondencji z powiatu mazowieckiego, w roku 1883 trzy zestawy anegdot księdza Karola Żery, a w roku następnym — artykuł „Niezbędne zapobieżenia”. Gloger nie w pełni jednak zgadzał się z linią programową pisma. Oburzenie autora „Encykliki staropolskiej” wywołały opublikowane w „Echu” narzekania na los, służby folwarcznej. Przecież — dowodził Gloger — robotnicy rolni otrzymują od pana na utrzymanie własne i rodziny więcej niż wynosi wysokość płacy niejednego burmistrza, a „najgorzej mieszkający parobek nie zamieniłby swojej izby z najlepiej mieszkającym stróżem pałaców warszawskich”. Gloger gorąco popierał ideę wydawania pisma prowincjonalnego i pisał o obowiązku wspierania „Echa Łomżyńskiego”, ale sugerował, by redakcja, zamiast szerzenia niechęci do ziemian („grzechy młodzieńcze”), zajęła się raczej poprawą morale służby i stanem oświaty.

Po upadku „Echa Łomżyńskiego” zapanowała kilkunastoletnia cisza. Niekiedy tylko w prasie warszawskiej, a jeszcze rzadziej w innych ośrodkach wydawniczych, ukazywały się korespondencje z naszego regionu. Na peryferiach Królestwa Polskiego panował totalny zastój, w tym i brak — jak wówczas mówiono — ruchu umysłowego. Zamiast informacji gazetowej krążyły opowieści fantastyczne (zbliział się ponoć koniec świata), przetykane plotką miejscową i przypowieściami wędrownych starców. Jeśli już „trzymano” (prenumerowano) jakiś tytuł, to raczej we dworze, na plebanii, w domu przedstawicieli „klas umysłowej” lub zbiorowo. W tym ostatnim przypadku bywało, że najsprawniejszy w czytaniu czynił to głośno, a grono słuchających komentowało na gorąco. Przypomnieć się godzi, że w końcu XIX wieku w guberni łomżyńskiej „gramotni” stanowiła niespełna 30 proc. społeczności i nawet w miastach przynajmniej czytać, nie mówiąc już o pisaniu, umiało tylko 45 proc. mieszkańców.

W takiej sytuacji — z datą 1 kwietnia 1898 r. — wyszedł inauguracyjny numer „Ech Płockich i Łomżyńskich”. Redakcja „półtygodnika” mieściła się w Płocku, ale i Łomża otrzymała oddział, ulokowany w księgarni Rychtera na Nowym Rynku. Pismo chciało być „wiernym odbiciem życia, potrzeb i życzeń mieszkańców”. Dla nas jest dziś bardzo cennym źródłem wiedzy o regionie, cytowanym już wielokrotnie także w „Kontaktach”. Zasluga to serwisu informacyjnego „Ech”, owych sprawozdań z zebrań i wyborów, zapowiedzi wizyt, inicjatyw i imprez publicznych różnego rodzaju, także listów, bardzo długich zestawów narzekania i — znacznie trudniejszych do znalezienia — pochwał lub relacji z pomyślnego zakończenia ważkich przedsięwzięć. W sumie lektura to łatwa, w miarę przyjemna, świadcząca o mentalności naszych prababek i pradziadków.

Narzekano setnie na ludzi za biednych, za leniwych, niecierpliwych i

w dodatku mało praktycznych, takich, co to żyją „z dnia na dzień — wśród trosk i kłopotów domowych, w oczekiwaniu lepszych czasów”. W samej tylko Łomży oburzano się na zaniedbania higieniczne, niedostatek mleka (wtedy już!), wąskie trotuary i nawierzchnie ulic pamiętające chyba Szwedów, kłopoty z wodą, drogi chleb, brak stałego teatru, „szpetne lica domów”, opóźnienia poczty, ciemności egipskie na niektórych ulicach, nawet na błędy na szyldach koniokradów, żebraków (zamiejscowych wydano z miasta) i na wiele, wiele innych bolączek. Wyliczać je można wręcz w nieskończoność, bo też — dawniej i obecnie — pisze się do gazety głównie skargi, słowa oburzenia, wstydlive donosy, by ulżyć własnej złości; radość łatwiej i praktyczniej okazywać w grobie najbliższych.

Nie mogło zabraknąć w „Echach Płockich i Łomżyńskich” także postulatów: zbudować kolej (zapomniane dopisać: szybka!), nowe szkoły, cukrownię (krzątał się przy tym Stanisław Lutosławski) i przytułki, uruchomić żeglugę Narwią do Warszawy, urządzić w Łomży ogród botaniczny im. Wagi, wydać księgę zażytków. Czy można było coś z tych rzeczy zrealizować? Sprawa trudna, bo — jak zauważyła redakcja w 1900 r. — w Łomży z jednej strony stoją „ojcowie rządzący [...] którzy z biegiem czasu, okoliczności, wpływów, niekiedy dzięki sprytowi i inteligencji ovladają ruchem życia społecznego w mieście i stają się niejako przedstawicielami opinii; z drugiej stronnictwo opozycyjne, niezadowolone”. Jedni nie znoszą krytyki, kierując się rutyną, a ci drudzy dużo krytykują, mało za to przykładają się do roboty. Samo życie.

Dochodziło na łamach „Ech” i do dyskusji. Pierwszą z nich rozpetał rejent Wiktor Szumański zarzutami pod adresem prowincjonalnej inteligencji, która nie dość, że nie sięgała po książki, to i zatraciła dawne ideały poświęcenia dla ogółu na ko-

Pierwszy tygodnik łomżyński nie miał łatwego żywota. Skończyły się szybko zasłki entuzjastów, a prenumeratorów i współpracowników nie przybywało. Chyba pod koniec 1883 r. przestał się ukazywać. Wznawiono go w połowie 1884 r., ponawiając apele o poparcie, zwłaszcza przez właścicieli dworów z terenu guberni łomżyńskiej i suwalskiej. Zdaniem petersburskiego „Kraju” — pismo, niegdyś postępowe, chciało teraz zostać „bez wyraźnego zabarwienia”. Funkcję redaktora przejął Julian Laskowski (Łyskowski?), pseudonim „Korabiec”, pomocnik Konrada Prószyńskiego („Promyka”) w początkowym okresie redagowania „Gazety Świątecznej”.

Pierwszy po wznowieniu numer „Echa” zawierał wiadomości urzędowe, kronikę miejscową, artykuł o serwitutach, przedruki z prasy polskiej i rosyjskiej oraz urywki wspomnień. Czasopismo miało się ukazywać w piątki, rozprowadzane przez cztery księgarnie łomżyńskie (Rychtera, Sosnowskiego, Bukowskiego, Szenefeldta) oraz księgarnie w Suwałkach, Pułtusk, Makowie, Ostrołęce, Kolnie, Szczuczynie, Grajewie i Wysokiem Maz. Redakcja mieściła się w domu Leśniewskiego przy ul. Śniadowskiej. Niestety, ten drugi okres w dziejach „Echa Łomżyńskiego” trwał jeszcze krócej niż pierwszy, bo zaledwie kilka (?) miesięcy.

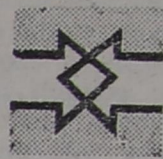
Po latach (1898 r.) oceniono, że „ziarno rzucone niegdyś przez łomżyńskiego reagenta, p. Szumańskiego, nie zmarniało zupełnie w jałowej ziemi mazowieckiej, bo z „Echa” Łomżyńskiego” wykiełkowały „Echa Płockie i Łomżyńskie”. To pierwsze „Echa” upadło głównie z winy inteligencji łomżyńskiej, „która wolała krać w karty, tykać sensacyjne wiadomości i plotki miejscowe [...]”. Ano, początki bywają z reguły trudne.

rzyć pogoni za dobrami materialnymi i zabawami. Zastanawiano się, czy Łomża ma szansę zostać „wielkim ogniskiem przemysłowo-handlowym”. Ziemianin spod Łomży, Stanisław Woyczyński (St. W.), dowodził, że nie ma już szlachty jako stanu, jest tylko warstwa przodująca majątkiem i wpływami, ale również cnotą. Do niej mogą należeć nawet chłopci, byle „oświeceni”. Różnice budziła i ocena emigracji zarobkowej, trudno wszak było odpowiedzieć jednoznacznie na pytanie, co ważniejsze: cnota czy pieniądze. Można po lekturze „Ech” zapytać jeszcze o istotę tzw. dobroczynności, stosunek do Żydów, receptę (czy w ogóle była?) na pogodzenie nowego ze starym, tujejszym i tradycyjnym, wreszcie — o skuteczność programów dydaktyczno-moralnych, propagowanych przy pomocy słowa drukowanego.

Nie zamierzam streszczać zawartości „Ech Płockich i Łomżyńskich”; chcę jedynie zachęcić do ich czytania. Niestety, od nr 19 z 15 marca 1904 r. zmienił się tytuł gazety na „Echa Płockie i Włocławskie”. Redakcja zrezygnowała z utrzymywania oddziału łomżyńskiego, bo w tym regionie spadała liczba prenumeratorów, a i coraz trudniej było o współpracowników. W Łomży rozchodziło się ledwie 50 egzemplarzy, a w jednym z numerów wydawca, na życzenie zainteresowanego, zapewniał, że to nie ów X jest jedynym korespondentem z miasta będącego przecież stolicą guberni. „Opinia publiczna źle wodzi tych, którzy piszą do gazet” i kalają własne gniazdo. Autorzy zatem ukrywali się za wymyślnymi pseudonimami, zmieniając je regularnie. Szkoda, że wyczerpała się cierpliwość redaktorów, ale i tak mamy do czynienia z wynikiem znaczącym — „Echa Płockie i Łomżyńskie” wychodziły regularnie, dwa razy w tygodniu przez niemal pełne sześć lat; w sumie 612 numerów!

ADAM DOBRŃSKI

spiećcia



W parku miejskim przy ulicy Wojska Polskiego w Łomży pojawiły się na drzewach — przybite gwoździem — tabliczki informacyjne, iż jest to na przykład grab, łac. „carpinus betulus”. Osobnika dwunożnego, poruszającego się w pozycji pionowej, z młotkiem w kończy nie górnej, prosimy o zgłoszenie się po wywieszkę: „homo sapiens”.

Na grobli jednaczeńskiej, za sprawą obwoźnego sprzedawcy piwa, działwa niewinna dzień w dzień oglądać może niezłomnych prestidigitatorów wyciągających z gardeł barwne pawie, poglądowo uczy się anatomii i fizjologii, a nawet sztuki kochania. A może eksperymentalną placówką dydaktyczną zajęłoby się Collegium?

W otoczeniu USC w Piekutach nieopisany bałagan. W sąsiednim Chodyszewie nowożeńców zaprasza piękna, zadbana świątynia.

— Kiedy przed USC w Piekutach będzie porządek?

— No, tego, Kościół jako Instytucja ma 1982 lata doświadczeń.

Dozorczyń przy ulicy Turlejskiej w Łomży oświadczyła, że nie może sprzątnąć resztek siana — pozostałości po targu — bo może się jej szufelka złamać. Co na to producent dżdżownic?

Pod koniec sierpnia jedna z Czytelniczek wykupiła bilet w kasie kina „Październik”, udała się na seans, odszukała miejsce, stwierdziła, że znajduje się tam tylko oparcie i — już do prasy z donosem. Droga Pani! Czy naprawdę nikt wokół nie ma już dość siedzenia? Może by się zamienił?

Nielicznym ze sprawiedliwych Łomży zadzwonił w kwietniu do Wydziału Finansowego Urzędu Miasta z prośbą o wymiar podatku od nieruchomości, gdyż go nie otrzymał. Usłyszał: już wysyłamy. Dał więc miesiąc czasu poczcie, drugi cenzurze, dołożył na ciekawość sasiadów i w sierpniu w UM zaczął się już domagać. Ledwo dotarł do domu — jest kara-upomnienie za zwłokę w płatności! W „rabację galicyską” chłopci pojmali poborę podatkowego i utopili w latrynie. No? Ile z tym roboty. A i kwity dzisiaj jakby większe.



Szanowny Panie Stanisławie. Kiedyś wspominałem o porównaniu profesji artysty i inżyniera. Dziś chcę rozwinąć nieco tę myśl. Najpierw wytłumaczenie genezy — dla starszych czytelników jasnej, dla młodszych (a często widzę nasz tygodnik w rękach młodzieży) już mniej. Nazwanie pisarza „inżynierem dusz” jest tak banalne, że nie nadaje się nawet do kabaretowego przedrzeźniania, i jeśli ktokolwiek myśli jeszcze o nim, sądzi zapewne, że to pisarz ustąpił trochę swej charyzmy inżynierowi. Nic podobnego, było całkiem na odwrót. Początek naszego wieku (szczególnie przez pierwszych czterdzieści lat, będących przedłużeniem XIX stulecia) żył w narastającym przeświadczeniu o bliskiej już wszechmocy inżynierii, konstrukcji mechanicznej, wynalazczości technicznej, boskiej twórczości człowieka w dziedzinie podporządkowywania swoim potrzebom materii nieożywionej. Do tego europejskiego niespokoju próbowali „się podłączyć” niektórzy twórcy, głównie malarze i poeci. (Tu napomnę, że ruch ten, już po I wojnie, przybrał postać niebezpiecznie spłyconych hasel o podporządkowaniu człowiekowi przyrody lub świata. Ale to temat na inny list).

Samo porównanie profesji ma proweniencję o wiele starszą, co wykryłem dopiero podczas lektur filozofów starożytnych, a szczególnie pewnego angielskiego franciszkanina

LISTY ZZA RZEKI

triada

HENRYK GAŁA

z XIII wieku. Ważne jest jednak to, że owo porównanie, przez wskazanie różnic, przemawia do współczesnej wyobraźni w następującym sformułowaniu: jedno udane dzieło poety opłaca niepowodzenia całego życia, jedno niepowodzenie inżyniera (np. budowniczego mostów) niweczy dorobek jego życia lub przekreśla możliwość dalszej działalności.

Od pewnego czasu do tego porównania wróciła mi się postać polityka. Nie jest to znowu takie novum, racja; dalek temu niejednokrotnie wyraż w swojej poezji (z większych „kawałków” wskażę na „Epizod z Judaszem” choćby), ale tym razem sprawa ma jakby bardziej praktyczny, nie metaforyczny wyraz.

Na pewno nie bez znaczenia jest przy tym fakt wyraźnej zmiany jakościowej w tzw. szeregach naszych polityków. Nie żebym chciał ich od razu chwalić, tylko po prostu powstała u nas warstwa profesjonalistów w tej dziedzinie. Do jej ujawnienia doprowadziło zaktywizowanie się polityków opozycji. Poli-

ticy byli u nas z powołania, poświęcenia, a nawet — zesłania.

Gdzie więc sytuuje się w mojej dychotomii: inżynier-poeta osoba polityka? Pośrodku. I to jako łącznik, koniugator, ale nie alternator. A jeśli tak, to owe „pośrodku” musi być geometrycznie dokładne. W życiowej praktyce (nie tylko na użytek teorii) nie może być „pośrodku” ani trochę „wyżej”, bo natychmiast stanie się nieskuteczne. (Dygresja: jeden z moich bliskich znajomych, człowiek, jakich zawsze brak przy robieniu w Polsce socjalizmu, przekonywany przeze mnie, że właśnie u nas nie powinno się być komunistą poza partią, tak tłumaczył mi swoją w niej nieobecność: w statucie wszyscy są równi, ale w praktyce są i równi, i równiejsi, a nawet najrówniejsi; o jedną kategorię za dużo, żebym umiał się godnie znaleźć).

Tak więc Panu pierwszemu odsłaniam moje odkrycie i od razu ciągnę dalej, bo porównanie, o którym mówię od początku ma na celu określenie warunków powodzenia w działaniu inżyniera, poety i polityka. Każdy z nich, do pełnienia swoich funkcji, musi być wyposażony w odpowiednie instrumenty. W dziedzinie polityki (dwie pozostałe pomijam jako znane od dawna) należy do nich, między innymi informacja.

Przeżywalimy dramatyczne wypadki 31 sierpnia, nadal przeżywa-

my refleksje nad nimi. Trochę widzieliśmy, trochę czytaliśmy, trochę słyszeliśmy, teraz myślimy, ale jakże rwane są nasze myśli. Nie tylko z powodu dramatyczności tamtych dni, tragizmu ich skutków, ale także z przyczyny bardziej przyziemnej — prymitywizmu i ubóstwa informacji. Tak, to nie za wielkie słowa, jeśli komunikat TV mówi o zwiokach skatowanego mężczyzny, znalezionych w rejonie zajęć ulicznych w Gdańsku, aby potem — bez słowa komentarza, podać wiadomość, że lekarze nie stwierdzili na zwiokach śladów zewnętrznych, które mogłyby być przyczyną śmierci. Podobnie arogancko niechlujnie były informacje prasowe o wypadkach we Wrocławiu, w Warszawie. A ile przemilczeń, zupełnie niepotrzebnych, np. o fackie przebiecia opon w autobusach komunikacji miejskiej w Elku, ocenionych przez społeczeństwo tego miasta jako czyn haniebny. Po co to? Przeciwno komu? Jeśli w ułożonej przeze mnie triadzie: inżynier — polityk — poeta, składnik środkowy ma łączyć, nie rozdzielać, musi działać, przy pomocy odpowiednich instrumentów informacji, bo ta jest równie ważna, jak fakty. Zła — najlepsze fakty niszczy.

Czy ktokolwiek w Polsce w ważnych, najważniejszych być może, sprawach dla kraju i siebie chce na ich temat powtarzać: nie wiem, co o tym sądzić? Nie Panie Stanisławie, takich Polaków nie ma.

Rys. Karol Ferster



ŻYCIE TOWARZYSKIE

Zebrał się w kilka osób, by przedyskutować kwestię osadnictwa. Rzecz na pozór dobrze wszystkim znana, literatura na ten temat istnieje ogromna i w różnym gatunku: patetyczno-izawa, romansowa, westernowa, socjologiczna i jakaś tam jeszcze. Naczytaliśmy się tego wszyscy do woli. Można nawet rzec, że osadnictwo spowszedniało nam nie mniej niż kryzys społeczno-polityczny czy problem części zamiennych.

Jak zauważył jednak zaraz po przywitaniu się fryzjer Stefan M., wszystkie te budujące romanse, krzepiące powieści, pamiętniki i dyseratacje psu na budę się zdadzą w chwili obecnej, dotyczą bowiem wyłącznie zagospodarowania Ziemi Zachodnich i Północnych, do tego w pierwszych latach po wojnie. Tymczasem aniśmy się spostrzegli, ziewając ukradkiem nad perypetiami pionierów nadodrzańskich, kiedy znaczne połacie kraju, zwłaszcza na wschodzie, wyludniły się, jakby przeszło tamtędy morowe powietrze.

— Panowie — chyba się zgodzą — kontynuował — że nie jest to stan normalny, by w całych okolicach nie było żywego ducha. Należałoby w związku z tym zapoczątkować, niczym w dawnym księstwie mazowieckim, wędrówkę Mazurów na północ i wschód: załadować na wozy garnki, pościel, rodziny wielodzietne, krowinę NCB uwiązać do kłonicy i hajda na ziemię niczyje.

Wtrąciłem dla ścisłości, że niektórzy już tak robią; na samej Białostocczyźnie w ostatnim roku pokazało się z kilkunastu śmiałków, co prawda bez wozów drabiniających i często-gęsto bez pościeli, za to z odwagą w sercu i rodziną na karku.

Na dowód wyciągnąłem paręnaście artykułów z prasy przeważnie stołecznej. Ponieważ nie mieliśmy akurat dostępu do poważniejszej literatury, traktującej przekrojowo dzieje osadnictwa, dyskusja zogniskowała się na tych właśnie pozycjach. Były to utwory przeważnie liryczne, utrzymane w typowej dla wszystkich odkrywców ziem dziewiczych tonacji, z happy endem, a jakże. Wszelako pan R., który od pół roku rozgląda się, jak najkorzystniej ulokować kapitał, zgromadzony dzięki rekompensatom, nie dał się rozkleić.

— Dobrze, dobrze — zawołał — lecz ile trzeba mieć, aby zaczynać?

Pochylił się tedy z powrotem nad sielsko-bohaterskimi malowaniami, ale ani rusz nie mogliśmy trafić na odpowiedź, choćby i zawołaną. Owszem, co i raz wynikało, że nie zgoda nie potrzeba, wystarczyć chęć szczerą i żona, żeby nie było smutno. Zdziwiliśmy się niepomniernie, że ludziska ze wszystkich polskich miast i miasteczek, nie tylko zredukowani, jeszcze się nie pozabijali pędząc na Wschodnią Sycanę. Dłaczęgół to nieliczni tylko godzą się, by jedno pociągnięcie pióra prezesa banku rozwiązało raz na zawsze ich życiowe problemy? Alboż jest kto tak głupi, by nie chcieć i gospodarstwa, i maszyn niezbędnych do jego uprawy, jako też inwentarza, materiałów na budowę, słowem: wszystkiego, co stanowi dorobek nieraz kilku pokoleń chłopów? Stefan M. wyrzucił zaraz przypuszczenie, że miastowi boją się zapewne gniewu tubylców, którzy na sam tylko ciągnik oszczędzać muszą latami, a molestować naczelników, a łapówki dawać i w pas czapkować, podczas gdy przyjezdny ma wszystko, co chce, od ręki.

Zajrzeliśmy raz jeszcze, okazało się jednak czarno na białym, że osiedleńcy przejawiają w stosunkach z sąsiadami nie bojaźń czy szacunek, lecz — w najlepszym razie — lekceważenie. Mając siebie za uosobienie nowoczesności (nic, że skredytowanej), z pogardą na ogół zeznają do mikrofonów i notesów o prymitywizmie dębiana gołymi rękami na paru hektarach, ciulaniu na podatki, uprawianiu wszystkiego po trochu, choć się nie

JAN KWASOWSKI

jak zostałem odkrywcą

bardzo opłaca... Autorzy zauważają mimochodem, że tubylcy odpłacają czasem pukaniem w czoło, co ochotników jeszcze utwierdza w poczuciu słuszności i wyższości.

Doszliśmy dosyć zgodnie do wniosku, że o nowym osadnictwie nie pewnego nie wiemy, trzeba zatem poważniejszą dyskusję odłożyć. Ponieważ wspólny wyjazd na wizję lokalną, jakkolwiek nie pozbawiony romantycznej mgiełki, nie mógł być poważnie brany w rachubę, zostałem zobowiązany, jako dziennikarz, do zasięgnięcia języka i w ogóle rozpatrzenia się w terenie.

Osadnika jakoś nie spotkałem, to fakt, wpadłem jednak na trop nowego jeszcze zjawiska, które choć wcale masowe, nie ma jeszcze swojej nazwy ani przysięgłych piewów. Otóż w jednej z podupadłych gmin urzędnicy, indagowani na okoliczność osadnika, zeznali w koń-

eu, że oni sami też jakby... No, niezupełnie, raczej z doskoku, bez obciążania budżetu państwa. W innych gminach też tak robią; wiadomo, że człowiek z pensji na obecnym etapie nie wyżyje. Patrzyłem z pewnym zaskopowaniem na ludzi, których jeszcze zeszłego lata wołał nie zaciągałby na ojcowiznę, a którzy teraz uprawiają z samozaparciami półhektarowe i większe polatki, wykrojone z gospodarstw rodziców lub wydzierżawione na gebę w podległych wsiach. Hodują różności: wczesne ziemniaki, konopie, tytoń, warzywa. Przy pielęgnowaniu upraw spędzają urlopy i popołudnia od kwietnia do września. Dla zdrowia, powiadają, dla zdrowia, a niektórzy przyznają, że hektar dobrze uprawiony, gdyby aż tyle zdołali, jak również przychylności panów klasyfikatorów („Jak do nich trafić?” „Ile wypadałoby dać od każdego metra?”), wystarczyłoby w sam raz, by utrzymać się na powierzchni, mebli nawet dokupić, kafełki ułożyć w łazience. Ziemi bezpańskiej pod dostatkiem, grzech, żeby się marnowała, a jak gmina bardziej wyrobiona towarowo, to i zwierchność łaskawszym okiem patrzy na dokonanie biurowe.

— Urzędnikowi z jakim takim przygotowaniem nietrudno zgadnąć, w której wsi wybrać polatko pod truskawki, w której zaś pod koński zab — powiedział mi szef służby rolnej w innej gminie, skwaszony jednak, jakby mu grykę na gruntach PFZ myszy zjadły. — Wie pan, czasem sobie myślę, że może nie-rozważnie wypędziłem chłopów ze wsi? Dorobić się raz-dwa to oni nie umieli, mieli jednak zdrowie do roboty.

Bez trudu odgadłem, że to w-



Upalna niedziela

Leżał w rżysku. Krew nie wystąpiła, więc nieruchomość ciała sprawiała wrażenie głębokiego snu. Zaskoczony? Nawet nie, bo jakiś ból zdąży uruchomić świadomość pod miazdżym czaszkę kołem ciągnika. Niespodziewanie zgasło światło, niespodziewanie świat umilkł. Twarz — jak we śnie — spokojna niczym doskonała anatomicznie maska, bo tylko twarz z całej głowy została. Obok przerażająca plama — wymieszanej z ziemią — krwi i mózgu. Taki obraz musi wyrzeć się w pamięci; nie na dzień, nie przespaną noc. Na lata, długie lata.

Wybrałem się z Ryśkiem w upalne przedpołudnie z wiklinowym koszykiem na ulegalki, rosnące na rozległych polach dziko, w kępach na wzgórzach jak wyspy. Kiedyś stanowiły otoczenie folwarczaków, po których zostały, ukryte w pokrzywach, fundamenty. Od niedawna mieszcuchy, z jednodniową wizytą u znajomych na wsi, zwabieni gwarem bizonów i superzetów, ciekawi plonów i nowoczesności w rolnictwie — stanęliśmy niespodziewanie w małej gromadce, nie mającej już nic do roboty. Ktoś uruchomił polowy telefon.

— Milicja i pogotowie zaraz tu będą. Lekarz już niepotrzebny od pół godziny — mówili.

Zakurzone twarze, nie nie wyrażające oczy, może trochę bezradne, niezwykle sytuacja, w której nie ma chaosu, jak na przykład przy pożarze. Trzeba czekać.

Nikt nie płakał. Odkryłem to w jakiś czas po zdarzeniu, gdy dowiedziałem się, że wdowa musiała zabrać się z trojgiem dzieci do innego pegeeru, nie mogąc znieść dziwnych uśmiezków sąsiadów. Tak, tam na ściętym już polu nikt nie płakał.

Nie wiedzieć kiedy — stojące opodal ciągniki zniknęły; cicho, bez zwykłego gazowania, popisów jazdy, odjechały za wzgórze. Nie powiozły do magazynu zboża, więc kombajny przerwały pracę.

Obłok kurzu wolno spłynął w ściernisko wysoko ściętej pszenicy. Niedzielną ciszę od czasu do czasu zakłócał szum maszyn pracujących za lasem, dokąd wieść o tragedii jeszcze nie dotarła.

— Wczora świadcował. Wrócił o piątej. Póki jeszcze nie parzyło, to robił; ze cztery kursy chyba. Weselna chara go załatwiła — tłumaczyła opalona brygadystka, raczej młoda, ubrana w obszerne dreluchy, stojąca z po męsku rozstawionymi nogami. Z tyłu nie mogła być rozpoznana w niej słaba pleć, w dodatku chropowatość głosu, zwana potocznie (u nienauczycieli) przepiciem, nadawała jej zawodowej funkcji dystygowny charakter.

— Jaka cholera kazala mu dzisiaj robić, pieniędzy im przecie nie brakowało — odchodząc kończyła swój wywód.

Po kwadransie od zniknięcia zaczęły się zjeżdżać z kilku stron naraż ciągniki. Traktorzyści nieśmiało podchodzili do sporej już gromadki bezradnych gapiów. Nie zwracali raczej uwagi na przykryte foliowym workiem zwłoki; być może z udawanym zatroskaniem — nieznacznie zbliżali się, by, dłużej słomę w zębach, wycofać się za luźny krąg ludzi.

Przypomniałem sobie później, że opony maszyn były bezwstydnie czyste, lśniące gdzieś tam wodą. Rosy od kilku godzin nie było, a najbliższa sadzawka nie znajdowała się bynajmniej na jakiegokolwiek trasie uzasadnionych przejazdów.

Znużeni oczekiwaniem na funkcjonariuszy, mających przerwać niespodziewaną sjęstę, siadali po kilku na rozrzuconych kostkach sprasowanej słomy. Milczeli. Kobiety natomiast gwarzyły: — Co będzie z samochodem? Baba przecieź jeździć nie będzie. Kiedy i za kogo wdowa

wyjdzie... A czy kto polecał jej po-wiedzieć?

Ktoś też zauważył, że byli tu prawie rok, a mało kto ich bliżej znał. Stronili jakoś. Na wolne zawsze gdzieś jechali, na imieniny przyjeżdżali obcy; nieswojo było chodzić, chociaż zapraszali.

Nieboszczyk w środku szerokiego kręgu został jakby zapomniany. Ciało było odleglejsze od wspomnień. Już wspomnień.

Dopiero dyrektor z odległego o kilkanaście kilometrów od-cinka, ściągnięty radiotelefonem, zburzył specyficzną atmosferę. Rzucił cholerami, wściekły, że u niego znów trup się zdarzył. Rozpoczął własne śledztwo. Ożywił obraz wypisz-wymaluj barokowej sielanki na łonie natury, tylko że uniformy inne i krajobraz z maszynami.

— Kto to zrobił? — zaskoczył wszystkich pierwszym pytaniem.

Uzmysłowili sobie, że przecieź ktoś będzie siedział za wypadek czy — jak naczelnym po rozpoznaniu poprawił — za morderstwo. Wielki, spocyny, biegł między potulnie stojącymi traktorzystami, rozkazując każdemu po kolei przyznać się od razu, jak belfer w klasie, w której na tablicy napisano jego przezwisko. Brygadziście poświecił nieco więcej czasu, a właściwie jej notowski, badając wszystkie kursy z pszenicą do suszarni, czego notowanie było jej świętym obowiązkiem.



Na początku, gdy z koszykiem na ulegalki przybiegliśmy za gazikiem, z którego ktoś nas ostrzegł, że na polu leży trup, brygadystka w swoim notesie przez dłuższą chwilę coś kreśliła. Jedna kartka zmieniła rozliczenie pracy traktorzystów — zniknęła w kieszeni obszernych spodni.

Dyrektor wrócił do wystraszonych, ciągle nieruchomo stojących traktorzystów i bacznie obserwujących każdy z jego rozwścieczonych gestów. Kazał po kolei chuchać. Przy ostatnim, już spokojniejszy, dobitnie, tak, by wszyscy słyszeli, wydekamował: — Wy sukinsyny, on nie pił z wami i nie kradł! — Chwilę odpoczął i jeszcze dobitniej kontynuował: — Oprócz tego, którego milicja zabierze, wszyscy jutro na siódmą ciągniki do przekazania przyprowadzą. Plan niech się wali, zboże niech się wysypie, ja was trzymać nie będę.

Nie przypuszczał, że milicja nie zabierze nikogo.

Kobiety, odważniejsze w takich sytuacjach, widząc zagrożenie egzystencji swych mężów, a więc i rodzin, rozpoczęły lamenty, co naczelnym skwitował jednym, adekwatnym do męskiego „sukinsyny”, epitetem.

W pół godziny po zburzeniu sielanki pojawieniem się dyrektora, w dwie po Ryśku i moim przyjeździe, pojawili się ci od urzędowego zamknięcia sprawy. W czasie połowego śledztwa wszyscy podejrzani odpowiadali: — Nie wiem... Nie ja.

Ślady opon wokół trupa zatarli gapię. Same opony pokryła już solidna warstwa kurzu. Traktorzystą, który w domniemanym czasie mógł przejechać po głowie kolegi, znalazł ocalenie w kieszeni opalonej brygadystki. Wykonany eksperyment — wizja lokalna — pozwoliła stwierdzić, że traktorzystą, który najechał, mógł nie zauważyć. Zapomniałno wszcząć dochodzenie, kto.

Lekarz, nie brudząc nawet rąk dokładniejszymi oględzinami, stwierdził, że gdyby zaraz po wypadku trzymano denata w pozycji siedzącej, nie byłoby wylewu, co zostało umieszczone w protokole. Nie zauważył (jak mi się zdawało — mocno podchmielony), że przedmiotem oględzin powinny być także inne części ciała, a więc i cała głowa.

Zapomniałem o ulegalkach. Koszyk gdzieś zapodział się w wysokim rżysku. Zaorał go pewnie jakiś nowy traktorzysta, bo za kilka dni zrobiono podorywki pod oziminę. Nieudana to była niedziela. Wracaliśmy z ciężkim bagażem i pustymi rękami.

Aha, zaraz na początku powinienem był powiedzieć, że Ryśiek znalazł zmarłego. Wychowali się niemal po sąsiedzku, byli prawie rówieśnikami. Gospodarstwo mieli niezłe, ale zachciało się ojcu dożyć starości w bloku z łazienką i wychodkiem na miejscu. Po oddaniu gruntów pegeerowi stary wysłał jedynaka do pracy, by nadal orał ziemię, z której wyrósł. Zresztą syn tę swoją część w pierwszą wiosnę orał niezwykle starannie, jakby chciał pokazać, że jest ona więcej warta od państwowej. Wartość jej przeliczał na kupiony samochód, dobrze umeblowane mieszkanie, ubrane starannie dzieci i żonę. A i sam był chyba najelegantszym w osiedlu mężczyzną.

Epilogiem jego życia, jak mówili tam na rżysku, było przeznaczenie. Ryśiek pokazał mi dokładnie: zwłoki leżały na byłej ojcowiźnie, traktor stał kilka metrów dalej, za miedzą.

Jedyny w osiedlu robociarski fiat w tajemniczych okolicznościach spłonął w niecały tydzień po pogrzebie właściciela, zanim wdowa z trojgiem osieroconych dzieci wyjechała.

Cała historia nie jest aktualna w sensie rozliczeń winnych. Zbiorowa wina stanowiła tabu dla ówczesnych dochodzeniówek, a może zdawano sobie sprawę z tego, że jej korzenie sięgają znacznie głębiej, na kilka lat przed tą niedzielą. Pozostały więc jedynie ewentualne torsje szerokiego kręgu odpowiedzialnych, jeśli zdarzyło się, że przeczytali niniejszy zapis. Czego im z całego serca życzę.

Fot. GABOR LÖRINCZY

obyczaje



wszystkie
ozdrowieli

— Mnie prosili do Ameryki, Australii, żebym zaocznie uzdrawiał. Ja pytam tylko o imię człowieka, zdjęcia nie trzeba. Jak usłyszałem przez radio o uszkodzeniu papieża, mówię do córki: „Cały świat będzie się modlił, ale oni nie mają tej mocy, co mnie Bóg dał, a ja poproszę Boga, że On ma być zdrowy”. Nie wypełniło się? Tak!

Z krainy niesamowitości przywołuje nas na ziemię przyjazd filmowca z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Ustala z przyszłą gwiazdą filmu oświatowego, panem Włodzimierzem, termin kręcenia zdjęć, prosi, by „Zdrowotny dziadek” przyjechał na plan w czarnym garniturze.

— O Boże! Co ludzie powiedzą, że Karpiński na stare lata na takim poziomie — kręci zdumiony i uradowany głową. Dziadek dba o swoje publicity. Nosi stale przy sobie plik wizytówek na papierze liniowym. Reklama jest również nieodzowną dźwignią w znachorstwie, zwłaszcza tutaj, gdzie jest tak silna konkurencja. Opinia pana Włodzimierza o kolegach z branży znachorskiej nie jest najlepsza.

— Kobieta z Orli to cygani. Chleb rzucać każe za ramię. Ja nie nie każe rzucać, u mnie tylko modlitwa.

O „Ślepcu” ma pan Włodzimierz trochę lepsze zdanie, gdyż ten podsyła mu czasami klientów.

— Ja jemu dał sennik egipski, on

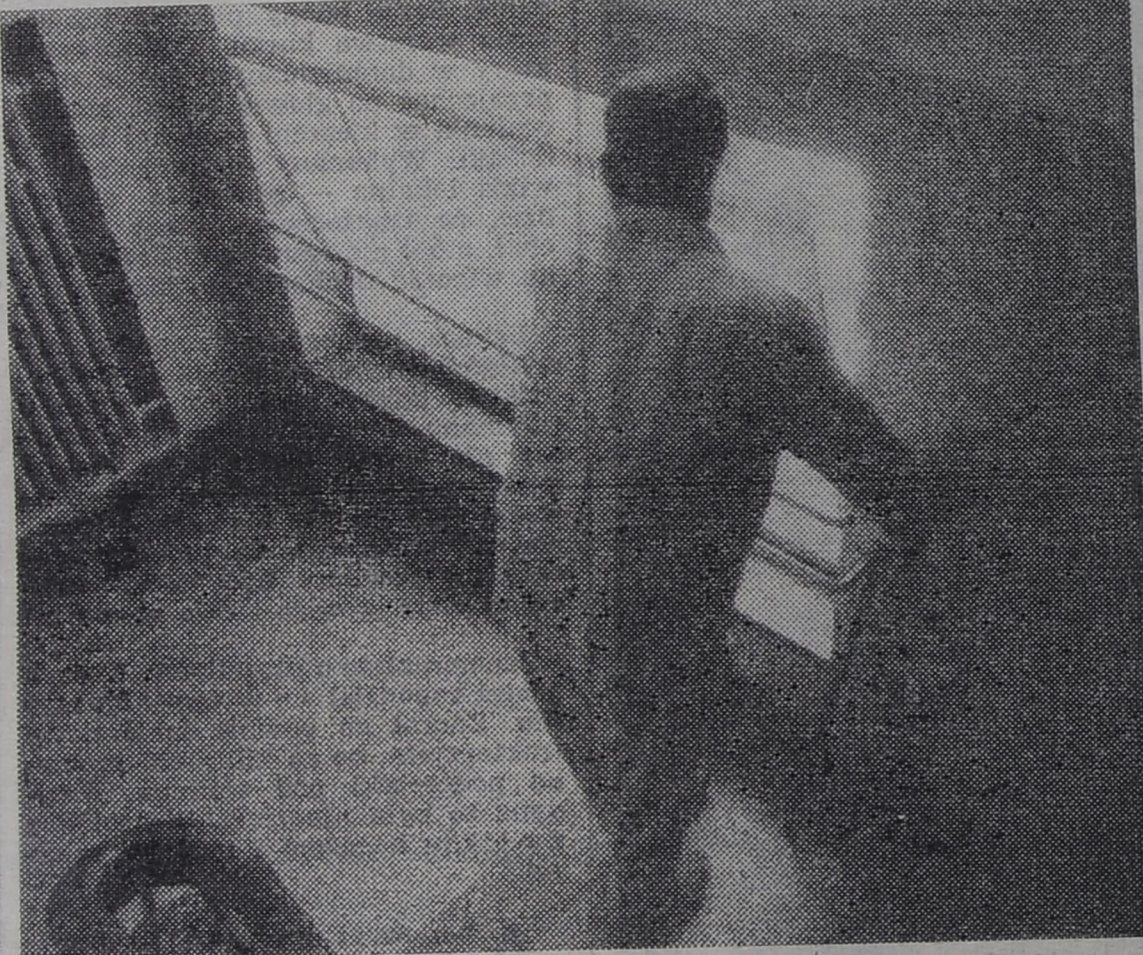
— W lutym miesiącu uzdrawiałem ludzi przez siedem dni w Kętrzynie — żali się pan Włodzimierz. — Książd na mnie zameldował i milicja mnie zabrała. Jak Jezusa Chrystusa do Piłata przyprowadzili. Mówię im tak: „Jakie winy na mnie znajdziecie. Myślicie, że ja jestem na świecie skarpeta? Jestem dużym człowiekiem, mam opinię na całą białostocką kolej. Proszę o uniewinnienie i najniższą łaskę kary”. Dali mnie trzy tysiące sześćset złotych grzywny. W areszcie uzdrawiałem, kto chory z milicji; wszystkie ozdrowieli. Całowali się ze mną na pożegnanie, sam naczelnik lokalu.

stachanowier
znachorstwa

Cudowni uzdrowiciele nie rodzą się na kamieniu. Trudno mi dociec, jakie znaki na niebie i ziemi towarzyszyły przyjściu na świat Włodzimierza Karpińskiego. Urodził się w Rumunii (w Besarabii) w roku 1903. Ojciec był wyznania prawosławnego, matka — pochodząca spod Równego — katolickiego. Przywędrowali do Kuzawy jeszcze za miłościwie panującego cara Mikołaja II. Mały Włodek od najmłodszych lat zdobywał pokarm dla siedmiorga rodzeń-

ADAM JERZY SOCHA

zdrowotny



nauczył się na pamięć i teraz horoskopy stawia. Ale nie wszystko się spełnia. Mnie się spełniło i na tym się opieram.

Tymczasem trwa intensywne przymierzanie spodni. Ambaras. Jest czarna marynarka, ale spodnie zostały w Warszawie. Może brązowe? Nie, odpadają. Te w paski? Hm, hm, do niczego. Te za krótkie, tamte za ciasne. O, w tych granatowych będzie dobrze. Pocieszam, że film będzie czarno-biały.

Modlitwy „Zdrowotnego Dziadka” odnoszą również skutek w sprawach nie mających nic wspólnego z medycyną: „Do Szanownego Pana bardzo panu dziękuję za moją wyleczoną nogę którą mi pan wyleczył i u przejmie proszę pana o jak najdłuższe życie. przepraszam pana szanownego, oturzył prosiłabym szanownego pana a żeby mi w sprawie mojej w sądzie która odbędzie się 12 maja w M. o godzinie 9 mi. 30. tą sprawą kręco oszustwo abymi odebrać kawalek pola i siedlisko, jeżeli by pan mógł proszę bardzo ja panu wynagrodzić co będę mogła. posyłam panu wodografie”.

— Nie tylko sądowe rzeczy pomagają — komentuje list pan Włodzimierz. — Przysłał mi turyści takie podziękowanie: „Uważamy Władimir. Dojechał choroszo. Spasiba”. Oni boją się, że urząd celny wykryje rzeczy, które wieźli, a ja im mówię: nie bójcie się, nie będzie kontroli.

Oprócz wdzięczności i tych kilku skromnych grosików za Bóg zapłać („Na cerkwiu w Hajnówce dałem sto tysięcy i sto złotych”), spotyka pana Włodzimierza w jego ofiarnej pracy również czarna wdzięczność.

cent normy, ale i 100. Niestety, tad-na z Akademii Medycznych nie wpadła na to, by nadać „Stachanowcowi Znachorstwa” tytuł honoris causa. Wiele zasług położył pan Włodzimierz również w służbie strażackiej, o czym świadczy przyznawanie odznaki za wysługę lat w Ochotniczej Straży Pożarnej.

— Wiele dobrych uczynków zrobiłem dla kolei — kończy swój życiorys „Zdrowotny Dziadek”. — W 1965 roku z I kategorią zdrowia przeszedłem na emeryturę. Emerytura dała mi małą, wraz z nią dała mi łaskę od Boga uzdrawiać ludzi. Tak uzdrawiam.

trudno być
prorokiem

Sąsiedzi Włodzimierza Karpińskiego nie ujmują mu pracowitości i sumiennosci, ale sceptycznie patrzą na jego uzdrowicielskie praktyki. Kuzawa to wioseczka, jakich wiele tutaj: chłopo-robotniczo-kolejarska. Z każdego domu przynajmniej jeden członek rodziny pracuje na kolei. Ziemia tutaj licha, pięć lub szóstą klasę; przeciętnie pięć hektarów przypada na jednego gospodarza. Na 105 numerów jest siedem ciągników. Wieś ma sklep, klub z telewizorem, stołem pingpongowym, plakatami o stanie wojennym i ZMW oraz świetliczankę, która właśnie jedzie przez wieś na rowerze. Dużo chłopów, mało kobiet, ZMW liczy trzydzieści osób.

— Ja się u niego nie leczę — mówi starsza kobieta z pękiem gałązek brzozy — on za dużo się przechwala. Wszystkich ze wszystkiego leczy. Był człowiek ze złamaną nogą; przezeźnał i mówi, że zrosło się. Ja jeżdżę do Koszeli do znachora.

— To uzdrowiciel? To denaturszczyk! — krzyczy na całą chałupę gospodarz, którego nos, chyba z gniewu, zmarchewkował. — Kapitał podłapał i pije.

Trudno być prorokiem we własnej wsi. Przypisując te opinie sąsiedzkiej zawiści, poszedłem do centrum życia duchowego, kulturalnego, rozrywkowego, leczniczego i administracyjnego okolicznych wiosek — do Czeremchy. Przedstawiciela życia duchowego spotkałem na pomoście kolejowym, łączącym Czeremchę z Kuzawą.

— Z punktu widzenia wiary trudno to zjawisko kwestionować — powiedział ksiądz. — Karpińskiego o sobicie nie znam. Wiem natomiast o kobiecie z Orli. Znajomy ksiądz miał bolesną egzemę. Parafianka przywiozła mu z Orli kulkę chleba, ksiądz wpiął ją wyrzucił, ale trafiał chleba, że złapał go ból. Odepchnął pychę od siebie, przerzucił chleb, jak mu kazano, o północy przez ramię, zmówił „Zdrowaś Mario” i egzema po pewnym czasie zeszła.

Życie kulturalne skupia się w Domu Kultury Kolejarsza, mieszczącym kino i bibliotekę.

dziadek (2)

stwa polując i łowiąc ryby. Ojciec pracował na kolei. Ledwo—ledwo wiażali koniec z końcem.

— Żeby ja miał choć pięć klas szkoły — smutnie mówi pan Włodzimierz. — Sam się nauczyłem czytać po rosyjsku z książeczki do nabożeństwa; znam księgi wszystkich proroków.

Od roku 1921 do 1965 nieprzerwanie pracował na kolei. Jeden syn i córka pracują na kolei, drugi — w elektrowni. Zwykły szary życiorys szarego człowieka, w niczym nie zapowiadający późniejszej sławy cudownego uzdrowiciela. Chociaż...

— Ja byłem na cały Białystok publikowany na rosyjskim i polskim języku — pokazuje mi dokument opatrzony pieczęciami.

Zaświadczenie

„Niniejszym zaświadcza się, że okaziciel niniejszego KARPINSKI WŁODZIMIERZ syn Mikołaja, jest zatrudniony w charakterze tadowacza punktu przeladunkowego stacji Czeremcha. Wykazał się on jako przodujący robotnik. Przekroczył on normę o 230 proc. na podstawie czego uzyskał tytuł „Stachanowca” i został opublikowany w gazecie „Zapadnaja Magistral”. Podpis i data: 15.07.1940 r.”

W swojej karierze znachorskiej „człowiek z marmuru” kolei białostockiej przekroczył nie tylko 230 pro-

— Karpiński z tego leczenia kupił synowi ciągnik i dom pobudował — powiedziała mi bibliotekarka. — Tak, to pracowity człowiek. Dobrze się trzyma, a już ile lat denaturat pije. Ja byłem u „Ślepcy”, bo kuzyn zaginął; chciałem żeby powiedział, co się stało, ale nie powiedział. Życie rozrywkowe to restauracja „Pograniczna”.

— Najbardziej jestem przekonana do Walentyny z Orli — stwierdziła kelnerka — bardzo pomaga na sprawy skórne.

— Ja miałam czyraki — dodała druga kelnerka — pojechałam i zeszły.

— Moją córkę, jak jej się coś w nogę stało — kontynuowała pierwsza kelnerka — kazano zabrać ze szpitala i nie pozwolić nic dawać. Zawiozłam do niej i dziewczyna biega.

W przychodni kolejowej, starym drewnianym budynku, pacjenci chórnie oświadczyli, że do medycyny trudno się dopchać. Jest jeden lekarz stały, ale zapracowany po łokcie, drugi dojeżdża z Białegostoku na dwie-trzy godziny, a chorzy przychodzą setkami.

I tak wieczorową porą dotarłem do konkurentki numer 1 „cudownych” uzdrowicieli, doktor Taisy Soroczyńskiej-Hałas, która mieszka w Czeremchsze z mężem i trójgiem dziećmi. Rozpoczęła tutaj pracę dwa-

naście lat temu, sądząc, że po roku wyjedzie stąd do stron rodzinnych — w Nowosądeckie.

— Ilu mieszkańców przypada w tym rejonie na jednego lekarza? — zapytałem, jak przystało na reportera poważnego pisma, pryncypialnie.

— Praktycznie proporcja jest 1:15.000. Obsługuję kolejarzy i ich rodziny z terenów trzech byłych powiatów. Jest też ośrodek gminny, zatrudniający trzy razy w tygodniu felczera. Lekarze nie chcą tutaj zostawać, gdyż nie ma tu smaków. Przyjechało raz małżeństwo lekarskie, pytają, czy jest basen? Nie ma. Kino? Raz w tygodniu. Tutaj potrzeba czterech lekarzy na stałe, i to po pewnym stażu pracy. Ja muszę być uniwersalna, być chirurgiem i laryngologiem. Po pracy drzewi się nie zamykają, nawet w nocy. Przyprawdzają pijaków z rozwalonymi głowami albo wzywają w środku nocy do umierającej, która, okazuje się, siedzi na wiaźdrze, bo ma najwykleszą w świecie biegunkę.

— Kto chodzi do znachorów?

— Wszyscy. Nawet żony sławnych specjalistów z Akademii Medycznej. Co do Karpińskiego czy „Ślepcy”, mam wyrobioną opinię. Natomiast u tej z Orli była kobieta z dzieckiem, u którego stwierdziłam silne zapalenie spojówek i skierowałam do specjalisty; leczenie nie dawało rezultatu, a po przyjeździe z Orli stan zapalny ustąpił. Zbieg okoliczności? Nie wiem. Ciemniaków tutaj nie ma. Szkoła podstawowa ma bardzo wysoki poziom. Nie ma młodego człowieka, który by nie ukończył szkoły średniej. Mimo to przychodzą do mnie pacjenci, którzy albo byli u znachora, albo pójdą, jeżeli moje leczenie nie poskutkuje. Jednak sami znachorzy, gdy im tylko coś dolega, chętnie korzystają z moich usług. Powiem panu szczerze: gdyby moje dziecko śmiertelnie zachorowało i medycyna okazałaby się bezsilna, poszłabym do znachora; dla spokoju sumienia, że wszystko dla swego dziecka zrobiłam.

gdy stanie nad nimi
kostucha

Szedłem do szpitala w Hajnówce, po niedawnej wizycie w nim „Zdrowotnego Dziadka”, przeświadczony, że zastanę opustoszałe sale szpitalne i bezczynny personel. Jednak kilka długich baraków było wypełnionych do ostatniego łóżka.

— Znamy, znamy. Przychodził tu się leczyć — pacjentki oddziału wewnętrzznego, siedzące na ganku w ten ciepły wieczór, mówią o Karpińskim jak o starym znajomym. — Wejdźcie na salę, podejdźcie do chorego, zapyta, co boli, położy dłoń, pomodli się i tak wokoło.

— Mnie głowa bolała — powiada jedna z chorych — pomodlił się i nie pomogło. Ludzie dawali po 20, po 50 złotych. Ja nie dała.

Batiuszka, u którego sprawdzam prawdziwość pana Włodzimierza co do ofiarowanych sum na cerkiew w Hajnówce („Sto tysięcy to nie wpłacił, ale sporo ofiarował”), w sprawie znachorów ma taką opinię: — Święte księgi mówią o cudownych uzdrowieniach, ale nasza wiara nie uznaje samowolnych uzdrowicieli. Karpiński mówi, że uzdrawia, ale czy uzdrawia, nie wiem. Jest kobieta z Orli; to, co ona robi, jest zupełnie sprzeczne z wiarą. Przepowiednie przyszłości, co czyni „Ślepiec”, jest uzurpowaniem sobie cech boskich.

Następnego dnia, 18 sierpnia, na Świętej Górze w Grabarce, podczas uroczystego odpustu odbywającego się tutaj raz w roku, obecny był nasz znajomy — „Zdrowotny Dziadek”. Jako że do tego miejsca kultu prawosławnego przyjeżdża wielu chorych i kalekich, miał pan Włodzimierz pełne ręce roboty. Ociemniały żebrak zaczął widzieć, co nie przeszkodziło mu nadal, z tytułu tej ułomności, zbierać datki. Z trudem podchodzący o lasce pod górę starszy człowiek poważnie przyjął zamawianie „Dziadka”. — Może to Bóg postawił tego człowieka przede mną — stwierdził.

19 sierpnia „Zdrowotny Dziadek”, prosto z odpustu, ruszył po wsiach i miasteczkach Białostocczyzny i Suwalskiego. Córka przywiozła do Grabarki pięć kolejnych listów, jakie wczoraj nadeszły. W każdym powtarza się rozpaczkliwie: „Przyjeżdżaj!”, „Uzdrow!” Czy następny list nie będzie od nas, sceptycznych i racjonalnych, gdy nagle stanie nad nami kostucha...

Fot. GABOR LÖRINCZY

seks

oswojonych

W starym mieście, gdzie ludzie są zżyci i znają się dobrze, szybko rozchodzi się wieść o lekarzu, który ma nowe podejście do pacjentów. Większość chorych zjawiała się ukradkiem; byli to ludzie w opłakanym stanie: zastarzałe nerwice, zaburzenia seksualne, trafiające na podatny grunt skłonności do neurastenii, uniemożliwiały im normalne życie.

Najpierw pojawili się mężczyźni. Przystojny trzydziestoletni adwokat z zawiadackim blond wąsem nieśmiało wszedł do gabinetu Freuda i szybko powiedział, że na skutek utraty apetytu ubyło mu dziesięć kilo wagi. Cierpiał też na melancholię i bóle głowy. Prosił o pomoc. Miał jedno dziecko. Żona chorowała od chwili porodu. Kłopoty z jego zdrowiem zaczęły się niedługo potem. — Czy choroba pańskiej żony uniemożliwia stosunek seksualny? — Nie — odparł pacjent. — Ale... wycofuję się przed... Moja żona nie może mieć następnego dziecka, póki nie wyzdrowieje. — Czy obecne objawy choroby występowały, zanim zaczął pan praktykować coitus interruptus? — spytał doktor Freud. — A czy to może być powodem moich dolegliwości? — ze zdumieniem powiedział mężczyzna. — Tak — odparł Freud. — Przede wszystkim musimy wyleczyć pańską żonę. W ten sposób wyleczymy i pana.

Nie lepiej wiodło się żonom. Przyszła do niego młoda matka, skarżąc się na bliżej nie określone stany lękowe i bóle w piersiach. Kochała męża. We współżyciu praktykował coitus interruptus, ponieważ nie chcieli mieć więcej dzieci. — Pani



Becker — spytał Freud — czy mąż przed wycofaniem doprowadza panią do orgazmu? — Pacjentka była wyraźnie speszona, tłumaczył więc dalej: — Troskliwi mężowie zważają na to, by zadowolić żony. Kobieta bardzo silnie podniecona, ale nie doprowadzona do orgazmu, przeżywa taki sam wstrząs, jak mężczyzna.

Jeśli pani mąż postara się panią zadowolić, bóle i lęki ustaną. — Kobieta, uśmiechając się blade, powiedziała na to: — Tak, tylko, lekarstwo, które mi pan zaleca, jest gorsze od choroby. Skończą się bóle, a zaczną poranne mdłości. (Na podstawie „Pasy utajonych...” Irvinga Stone'a)

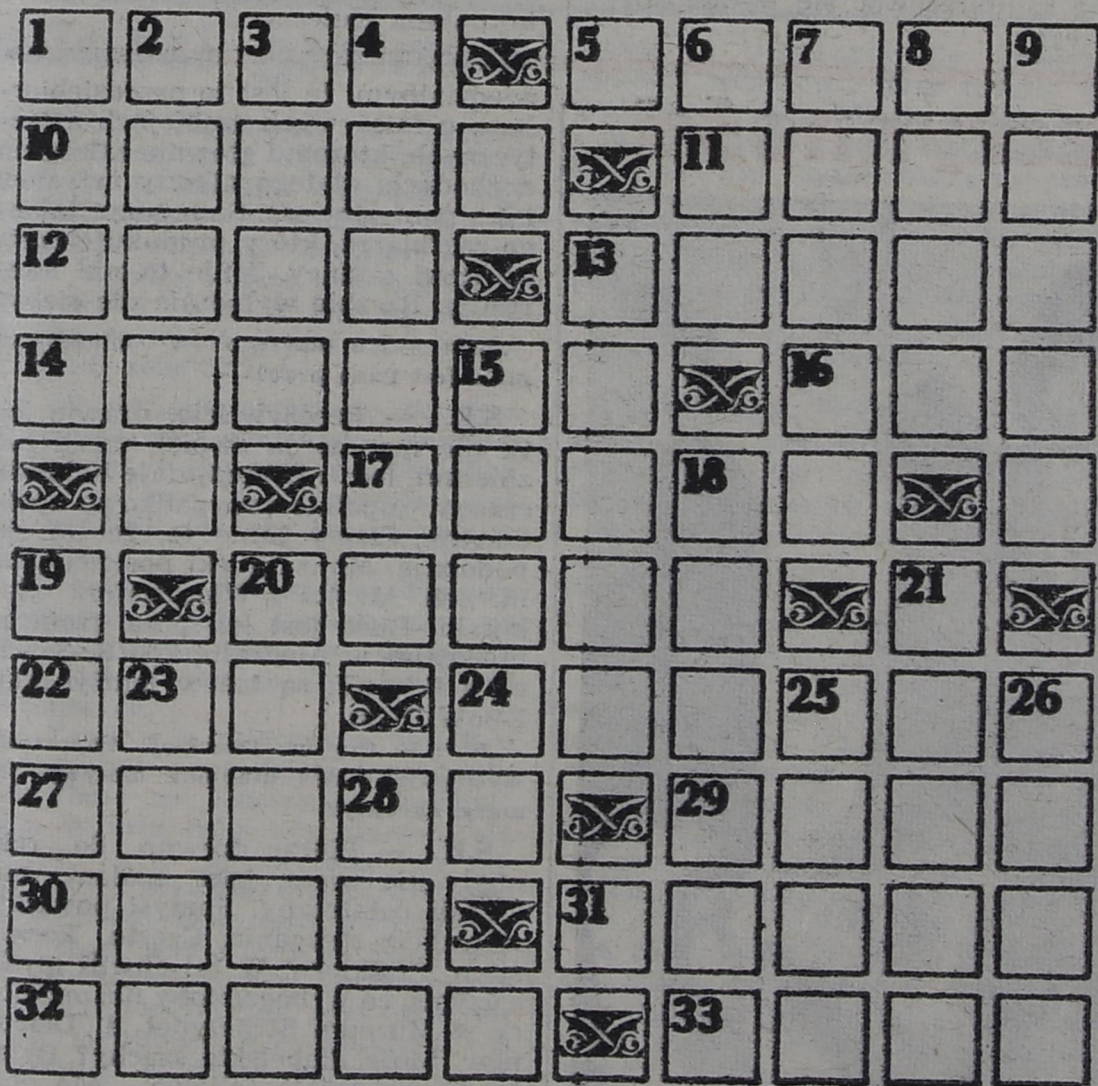
BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

ciepło z kaloryfera

Nam się wydaje, że centralne ogrzewanie jest wymysłem współczesnej cywilizacji, a przecież system obiegowego ogrzewania znany był starożytnym. W roku 1954 w miejscowości Beycesultan (w Turcji) brytyjska ekspedycja archeologiczna odkopła pałac królewski państwa Arzawa, istniejącego w Anadolii 1200 p.n.e., pod którego podłogami biegły kanały będące przypuszczalnie instalacją centralnego ogrzewania.

Jednakże ten sposób dostarczania domostwom ciepła musiał ulec zapomnieniu lub zaginięciu, bowiem wiele wieków później, ok. 80 r. p.n.e., dokonano takiego samego wynalazku. Odkrywcą był kupiec rzymski spod Neapolu, Gajusz Sergiusz Orata, dostawca ryb i ostryg. Wpadł na pomysł, że można by prowadzić hodowlę tych stworzeń morskich w ziemie. Zbudował więc pewną liczbę zbiorników, które nie były zagłębione w ziemi, lecz stały na niewielkich podporach ceglanych, a dym i gorące powietrze z rozpalonego obok ognia krążyły pod nimi. Orata zastosował później swój wynalazek dla udogodnienia ludziom życia. Kupował wille, wyposażał je w balneae pensiles, czyli podwyższone łazienki, ogrzewane przewodami biegnącymi pod podłogą. Dochód ze sprzedaży tak wyposażonych wili przewyższał znacznie sumy ze sprzedaży ryb. W ciągu półtora wieku po wynalazku Oraty budowniczowie rzymscy zaczęli stosować jego system do całych budynków. Nazywano go hypocaustum, co po grecku znaczyło „ogrzewanie od dołu”. Rzymianie wyjeżdżający na stałe do północnych prowincji imperium budowali tam domy wyposażone w hypocaustum, aby stawić czoło mroźnej zimie. W średniowiecznej Europie zupełnie zapomniano o tym rzymskim wynalazku.

krzyżówka



POZIOMO: 1) hałas, zgiełk, 5) zły duch diabeł, szatan, 10) najdłuższy dopływ Warty, 11) prawy dopływ górnej Wisty, 12) mongolski hodowca bydła, 13) wielkość, duże rozmiary czegoś, 14) naczynie umożliwiające przechowywanie ciepłej cieczy, napoju przez dłuższy okres czasu, 15) znajoma z „Elementarza”, 17) bylina łożyskonośna, częsty element dekoracyjny w sztuce, 20) jedna z elektrod, 22) w zwierząt tylna część ciała, 24) odgłos pracującego silnika, 27) poeta węgierski (1817–82), twórca poematu epickiego „Toldi”, 29) pisemne wyrażenie zgody na wjazd do innego państwa, 30) żona radcy, 31) silny nacisk, parcie, 32) pracownik zakładu włókienniczego, 33) kawa przeciwnieństw szatana.

PIKOWO: 1) kość, 2) bokserki przyrząd treningowy, 3) olejek różany, 4) najstarszy z Hlasków, 6) jednostka pracy, 7) rewolucjonista francuski (1743–93), jeden z najradkalniejszych przywódców Wielkiej Rewolucji Francuskiej, 8) pieniądz wręczony Chazonowi za przewiezienie, 9) modlitwa muzułmańska odmawiana 3 razy dziennie, 13) załoga łodzi wioślarskiej, 15) więzy, pęta, 18) waleń, 19) diabeł, szatan, 20) miasto w pld. części Turcji, 21) pieczęć, nadzór, 23) trunek, 25) sznur różnej długości z sułkami używany w państwie luków do rachowania, 26) waga opakowania, 28) rodzaj szczególnej zupy.

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

„HCL”



w objęciach brzozy

Las ze swym bogactwem drzew, krzewów, kwiatów jest nie tylko miejscem urokliwie pięknym, lecz i niezawodną lecznicą człowieka. Każde bowiem drzewo, każda roślina ma inny skład chemiczny, swoją emanację i własne biopłyny. Spośród wszystkich drzew naszego kraju na szczególne wyróżnienie zasługuje nasza pocziwa brzoza. Jej dobroczynny wpływ na organizm ludzki z dawna już został usankcjonowany przez przyrodników. Ponoć sypianie na ulścionych gałązkach brzozowych już po kilku tygodniach likwiduje całkowicie — niezastępalne jeszcze — przypadłości reumatyczne. Zaleca się również trzyma-

nie świeżych gałązek brzozowych w każdym mieszkaniu, a szczególnie w pobliżu telewizora, brzoza bowiem neutralizuje wszelkie promienie radioaktywne i — w pewnym stopniu — promienie rakotwórcze. Sok z brzozy, ściągnięty w pierwszej połowie maja, wypijany po kieliszku trzy razy dziennie, czyści krew, nadaje twarzy świeży wygląd i chroni płuca przed rakiem. Huba brzoza zbierana w październiku, ale tylko w Puszczy Białowieskiej, Augustowskiej i w lasach olsztyńskich, lecz, a przynajmniej zatrzymuje, niszczyielski proces nowotworowy.

czy poród musi być bolesny

Od dawna lekarze humaniści dążyli do unowocześnienia położnictwa i wyeliminowania porodowego bólu. Dla złagodzenia porodowych cierpień królowej Wiktorii w roku 1853 dr John Snow zastosował po raz pierwszy chloroform. W roku 1933 dr Graffagnino i dr Seyler wprowadzili po raz pierwszy znieczule-

nie zewnątrzoponowe, które — po pewnych modyfikacjach — opanowało nowoczesne światowe położnictwo. W krajach, w których wprowadzono tę metodę znieczulenia porodowego, zmniejszyła się śmiertelność o 50 proc.

W Polsce metoda ta nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem, a lekarze położnicy podzielili się na dwa obozy. Oponenti przeciwdziałają znieczuleniu tak zwaną psychoprophylaktykę. Jednakże proponowane przez nich szkoły rodzenia najczęściej nie zdają egzaminu na sali porodowej, kiedy to rzeczywistego bólu nie da się uśmierzyć samą świadomością.

Stragam pod trzynastką



13

KONTAKTY
26 IX 1982

Wiesć o preparacie, który znakomicie konserwuje i chroni drewno przed grzybem, powodującym zgniliznę konstrukcji znajdujących się na otwartej przestrzeni, docierała pocztą pantoflową do zainteresowanych, aczkolwiek nielicznych osób. Znajomi znanych udawali się w te pędy do morgownikiej leśniczówki, by tam zapatrzeć się ów rewelacyjny środek.

Doc. Jan Kulesza, wynalazca humitolu — bo taką nazwę nosi specyfik — rozpoczął eksperymenty badawcze dawno. Impulsem do prowadzenia doświadczeń w dziedzinie wykorzystania soli kwasów humusowych (a mówiąc prościej: torfowych związków organicznych do konserwacji drewna) stały się przypadkowe obserwacje ludności, która z miejsc, gdzie dawniej palono torf, zbierała popiół i sporządzała zeń mieszaninę wodną, po czym smarowała nią własne domostwa. W jakim celu? — dociekał naukowiec. Okazało się, że w ten sposób Kurpie od dawien dawna zabezpieczali swe siedziby przed owadami. Ślady torfowego preparatu noszą do dziś — co odkryje uważny obserwator — podkoleńskie chałupy.

A więc metoda praktycznie nieznana. Ale kto wie, ile wspaniałych odkryć właśnie taki miało początek. O tym, że torfowiska działają konserwująco, przekonują choćby — tak znakomicie zachowane — biskupińskie chaty czy też, odkryte całkiem niedawno, cmentarzysko w Holandii sprzed 7 tysięcy lat. Niemalą sensację wzbudziły również zmumifikowane zwłoki dziewczynki, które odkopano podczas prowadzenia robót budowlanych w jednej z warszawskich dzielnic, w miejscu dawnego bagniska.

Docent Jan Kulesza, mieszkaniec Warszawy, pracownik Instytutu Chemii Przemysłowej, specjalista w dziedzinie przemysłu środków ochrony roślin, lasu i drewna, obecnie na emeryturze, przystąpił do badań nad wykorzystaniem związków humusowych, występujących w torfie, jeszcze w latach sześćdziesiątych. W terenowej placówce naukowo-badawczej, zlokalizowanej w Dębem, początkowe próby przypominały bardziej zabawę w piekielko

DZIEJE PEWNEGO WYNAZASKU

homo
humusALICJA
ZAGÓRSKA

niż dociekania naukowe. Jak opowiadał naoczni świadkowie, całymi dniami wokół beczek kręcił się dwaj umorusani na czarno osobnicy — tym drugim był leśnik Władysław Lepsza, wspomagający swym doświadczeniem naukowe badania — mieszający smołowate mazidło Torfową mieszaninę sporządzali w różnych proporcjach; najpierw na podwórku leśniczówki, później — kryjąc się przed ciekawskimi — w prymitywnej, sklecone naprędcie, szopie.

Wyprodukowany w takich warunkach specyfik zastosowali do konserwacji drewnianych budowli, wzniesionych wokół leśniczówki. Stoją tam od dobrych kilku lat i żadne pasożyty ich się nie imają.

Naukowa dokumentacja znajduje się w teczkach Kuleszy. Fotografie materiału badawczego — kawałków drewna zaatakowanych przez grzyby — wyraźnie wskazują na zatrzymanie procesu destrukcyjnego w wyniku zastosowania humitolu.

Jan Kulesza opatentował swój wynalazek w 1978. Figuruje pod numerem 99648. I w tym momencie powinna kończyć się dzialka naukowca, a zacząć — produkcyjna. Ale jakoś do tej pory próby zainteresowania przemysłowym (czy choćby rzemieślniczym) wytwarzaniem humitolu spulają na niczym, mimo osobistego zaangażowania w całą sprawę autora wynalazku. Kto go nie chce?

Wyprodukowany w chałupniczych warunkach przez docenta Kuleszę specyfik (3 tony) nocą podkradają okoliczni mieszkańcy, w dzień sprzedawany jest znajomym — to znak świad-

czący o zapotrzebowaniu. Specyfik ma jeszcze jeden bardzo ważny, a może najważniejszy, walor, który daje mu przewagę nad — stosowanym jeszcze do niedawna w budownictwie mieszkaniowym, choć bez dokładniejszych analiz naukowych — ksylamitem (jedyny środek do konserwacji drewna, i to na półkach sklepów łomżyńskich nie występujący): jest on całkowicie nietoksyczny, a więc nieszkodliwy dla ludzkiego zdrowia.

Sentymenty łomżyńskie skłoniły Jana Kuleszę, który rodzinie jest z województwem związany, do zainteresowania humitolem tutejszych władz. „Trzeba dać ziemi łomżyńskiej to, co się ma wartościowego”. Najlepiej byłoby tu rozpocząć produkcję. Surowiec do wytwarzania humitolu leży w nadmiarze, a i technologia nie jest zbyt skomplikowana dla fachowca. (Notabene: geolog wojewódzki, zapytany telefonicznie o ilość torfowych pokładów, odmówił podania danych, gdyż, jak twierdzi, obliczenia zajęłyby mu dwa tygodnie). Ale podchody robione w kierunku czynników oficjalnych nie przyniosły spodziewanych efektów; tzn. w kameralnych warunkach wyrażały ogromny zachwyt i podziw dla wynalazku, obiecywały szybką pomoc przy jego wdrożeniu i chęć rozpoczęcia produkcji w łomżyńskich zakładach, ale na tym się skończyło. Jak dowcipkują znawcy, nie ma chętnych, bo produkcja jest zbyt prosta.

Na początku sierpnia tego roku o chęć rozpoczęcia produkcji pilotażowej wyraziło Przedsiębiorstwo Produkcji Leśnej „Las” w Ostrowi Mazowieckiej. Choć docent Kulesza przesłał obszerne pismo ze szczegółowymi wskazówkami, dyrekcja zakładu nie zdecydowała jeszcze, czy weźmie się za humitol. Więc produkcyjna dzialka nadal pozostaje nie uprawiona, a wynalazek spoczywa snem sprawiedliwego w patentowych czeluściach dokumentacyjnych. Tymczasem i na wschodzie, i na zachodzie podobne specyfiki, których podstawowymi składnikami są huminy, od dawna znalazły produkcyjny finał. Może więc łomżyńskie zakłady Przedsiębiorstwa „Las” zechcą zainteresować się wynalazkiem bliżej?

Na humitolu docent Kulesza swych dociekań naukowych nie zakończył. W tym samym mniej więcej czasie prowadził prace badawcze nad zwiększeniem naturalnej odporności roślin — oczywiście, wykorzystując do tego celu humusy, a więc naturalne związki chemiczne, których dostawcą jest torf. Jak ważna to dziedzina, docenić mogą tylko ci, którzy biją na alarm przytaczając coraz groźniejsze dane o zanieczyszczeniu środowiska naturalnego pestycydami, a więc substancjami chemicznymi niszczącymi szkodniki oraz choroby roślin i zwierząt, ale przy okazji — człowieka. Wartość tych prac jeszcze się zwiększy w kontekście nawozów sztucznych; zupełnie nierozważnie stosują je rolnicy indywidualni, a zdarza się to także gospodarstwom uspołecznionym, które wysiewają je w zbyt dużych dawkach i bez przestrzegania terminów agrotechnicznych. „Bo przecież ja tego jadu nie będę”. Więc co szkodzi dać tyle nawozów, by roślina wabiła swym ładnym wyglądem?

Swoje laboratorium badawcze przeniósł docent Kulesza do ogródka działkowego. Jak do tej pory — chroni działkowe plony przed szkodnikami specyfikami własnej produkcji ze znakomitą skutecznością. Nieszkodliwy ani dla człowieka, ani dla pożytecznych owadów humitolu, jak go nazywa, stosuje na działce, a wyniki metod badawczych zapisuje skrupulatnie w dzienniku. Humitoku, nietoksycznego środka ochrony roślin, złożony został przed kilku laty do naukowej atestacji w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, ale nie doczekał się jeszcze dokładniejszej analizy swoich właściwości, więc docent znowu produkuje chałupniczo chemiczne mieszaniny i przebiega się z nimi na własną rękę.

Jest dobrej myśli. W końcu wynalazki muszą znaleźć producenta, bo to przecież znakomita sprawa. Nie mówiąc już o tym, że humusy mogą znaleźć zastosowanie jako dolistienne nawozy. Wzbudzają podziw sliwkowe plony po dolistnym zastosowaniu humusowych mieszanek. Aż trudno uwierzyć, że nikomu dotąd nie wystarczyło mądrości do skorzystania i rewelacyjnych odkryć Jana Kuleszy.

Stanisław Kozielski urodził się w Kamieńcu Podlaskim, a od roku 1946 mieszka w Łomży. Jest członkiem ZBoWiD-u i społecznikiem. Życie zawodowe spędził przy kierownicy; teraz cały swój wolny czas poświęca pasjom: samochodom, fotografii i tej największej — rzeźbiarstwu.

„Ontakty”: — Jak Pan trafił do Łomży?

STANISŁAW KOZIELSKI: — O, to długa historia. Moja droga do Łomży wiodła przez Moskwę (gdzie zdobyłem zawód kierowcy), Żytomierz i Lublin. Dotarłem tu późną jesienią 1946 r. jako żołnierz I Armii Wojska Polskiego. Natychmiast podjąłem decyzję, że w Łomży zacznę drugi rozdział życia. Wkrótce założyłem rodzinę. Kierowcą byłem przez kilkadziesiąt lat, aż do emerytury. Uważam, że ten zawód jest trudny, ale bardzo ciekawy: nowe miejsca, twarze, możliwość obserwacji życia.

„K.”: — Co zapewne sprzyjało rozwijaniu drugiej pasji — rzeźbiarstwa. Czy to zainteresowanie rodzinne?

S.K.: — W mojej rodzinie nikt nie interesował się rzeźbieniem, a mnie ono wciągnęło zupełnie przypadkowo, już na emeryturze. Choć... Pochodzę z rodziny kowali; mój dziad i ojciec trudnili się kowalstwem, a ja w czasie wojny nim się zajmowałem. Myślę, że kowal i rzeźbiarz to spokrewnione zawody, a różnica jest tylko materiał i technika. Pamiętam, była niedziela i, jak zawsze, wybrałem się z żoną nad Narwę. Znalazłem nad brzegiem jakieś patyki; z nudów zacząłem je strugać szczyrakiem. I, o dziwo, stwierdziłem, że coś z tego strugania mi wychodzi. Od tamtej pory (upłynęło już osiem lat) nie znam bezczynności.

„K.”: — Wszystkie Pana rzeźby mają naturalny kolor drewna; na Podolu, skąd Pan pochodzi istnieje również tradycja rzeźby polichromowanej tj. pokolorowanej. Czy nigdy nie czuł Pan pokusy pomalowania farbami swoich dzieł?

S.K.: — W moich rodzinnych stronach, po kościołach i cerkwiach, wi-

nie znam bezczynności



dywałem rzeźby malowane, ale mnie one nie zachwycają. Rzeźba musi być naturalna, żeby było widać słoje, materiał. Najchętniej robię z lipy, ale nie stronię i od innych gatunków: topoli czy wierzby. Wolę drewno miękkie, jest ono jakby stworzone do rzeźbienia. Lubi dużo.

„K.”: — Co Pan sądzi o związkach artystów ludowych z „Cepelią”?

S.K.: — Są one zgubne dla twórców. „Cepelia” to masowa produkcja, w której dominuje przemysł. I nie ma to nic wspólnego z autentycznym folklorem, rękodzielnictwem; po-

wiedziałbym, że jest to przedsiębiorstwo o fałszywych ambicjach artystycznych, któremu głównie zależy na dochodach, dlatego niszczy artystów i ich pomysłowość. Sam znam takiego rzeźbiarza, który produkuje rzeźby spod sztancy. Mnie to nie interesuje. Rzeźbię wyłącznie dla siebie.

„K.”: — To dlaczego w mieszkaniu mało jest Pana prac?

S.K.: — Rzeczywiście, prawie ich tu nie ma, bo ja swoich rzeźb nie zbieram, lecz zawieszam je w domu, czasem zupełnie przypadkowo spotkanym. Cieszy mnie to, że im się podobają. Moje figurki posiadają m. in. gen. Michta i Włodzimierz Sokorski. Dużo jest ich poza granicami kraju: w Australii, ZSRR, Szwecji i Francji; są też w łomżyńskim ZBoWiD-zie.

„K.”: — Czy w Pańskiej twórczości występują jakieś ulubione motywy, tematy, akcenty?

S.K.: — Biorąc drewno do ręki nigdy nie wiem, jaki nadam mu kształt ostateczny. Pomysł powstaje w trakcie strugania. Często korzystam z folkloru. W tej chwili myślę o czymś, co wzbogaciłoby nasze zbiory w Muzeum Straszdeł i Demonów. Może diabelskie szachy? Byłaby to wspaniała zabawa. Ale też rzeźbię tematy wielkie, np. zrobilem Jana Pawła II, którego uważam za symbol pokoju, a mam w planie symbol Matki Polki.

„K.”: — Gdyby przy Wojewódzkim Domu Kultury istniała sekcja amatorów rzeźbiarzy, czy byłby Pan jej członkiem?

S.K.: — Nie, mam w tym względzie przykre doświadczenia. Dziś młodych ludzi nie interesuje sztuka ludowa; wolą kino, dyskoteki, i żartują sobie z artystów. Ponadto udział w pracach takiej sekcji kłuje wolność człowieka i pochłania zbyt wiele czasu. Nie potrafię tworzyć pod nadzorem i w określonych godzinach. Samotność i swoboda tworzenia to, według mnie, warunki rozwoju autentycznego amatorskiego ruchu artystycznego.

„K.”: — Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała

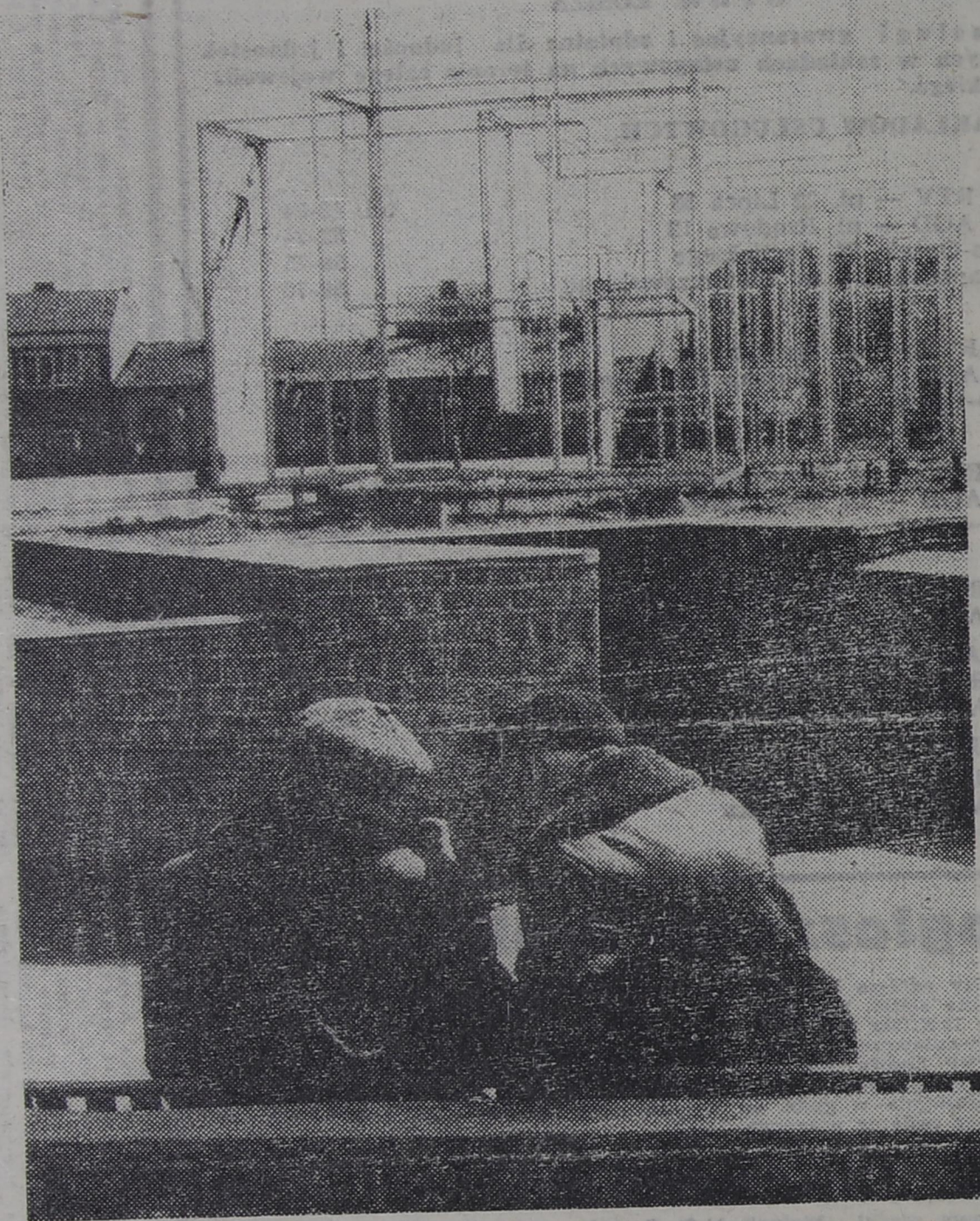
ALDONA BOROWICZ
Fot. GABOR LÖRINCZY



[illegible]

o z d o b a

Grajewo podniósł do godności miasta król Zygmunt Stary w 1540 r., lecz przez wiele lat było de facto wsią targową. Niszczone przez obce wojska, przegrywało też konkurencję ze Szczuczynem. Wielką szansą okazała się kolej (1873 r.), powstały wówczas pierwsze fabryki, a po I wojnie światowej miasto awansowało na stolicę powiatu. Dziś zdoła ono — jak twierdzą tutejsi mieszkańcy — województwo łomżyńskie.



graj Ewo!

„Po owym fatalnym wypadku z jabłkiem, pierwszy nasz rodzic Adam wielce stracił na humorze. Szedł, wypędzony z raju, bez słowa, jak martwy, rozpacz go przygniatła. W ciągu drogi ani słowem nie odezwał się do swej małżonki, która wszelkimi sposobami używała, aby stłumić w nim żal, jaki czuł do niej — rozproszony jego zmartwieniem, by go rozzerwać, skłonić do rozmowy. Na próżno; miesiące mijały, a Adam się nie odzywał. Straciła wreszcie Ewa cierpliwość, przestała się Adamem zajmować. Ale czego nie mogły zdziałać słowa, pieszczoty, tzy Ewy, sprawiła to niespodziewana muzyka. W czasie odpoczynku w pewnej miejscowości małżonka Adama, zrobiwszy sobie jakiś instrument, poczęła na nim grać. Dźwięki muzyki ożywiły go, rozproszyły żal, smutek i rozpacz, a gdy Ewa grać przestała, Adam, bojąc się, by znów nie popadł w stan poprzedni, zawołał: „Graj Ewo!“. I były to pierwsze słowa Adama po wyjściu z raju.

Na miejscu tego zdarzenia cokolwiek później stanęła osada, którą potomkowie Adama, na upamiętnienie pierwszych słów jego, nazwali „Grajewo“.

(„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 33 z 1902 r.)

ale pamięć!

„Pod Grajewem, za drewnianym mostem na rzece Łęć naciągnąłem buty, bo nie wypadło przez miasto iść boso.

Z fabryki pasmanterii Hepnera przeziąty wyciem ożwała się syrena wzywająca tkaczy do pracy. Ruch wielki był na ulicach. Na rogu szpaler kobiet siedział przy koszach warzyw jagod, grzybów, owoców. Inne trzymały oselki masła, konwie mleka, gomoły twarogu, sery. Okna wystawowe obwieszane były petami kiełbas, ciast i wszelkiego pieczywa. Odwracałem oczy od tych rarytasów, bo w ustach zbierała się ślina i brała chęć szarpnąć się za kieszeń, gdzie miałem schowane pieniądze. Dla odpędzenia pokusy zacząłem pogwizdywać z cicha: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie...“

(Franciszek Zabielski, ur. w 1908 r. w Rajgrodzie; „Z życia i pamięci”, Warszawa 1971 r.)



Fot. GABOR LÖRINCZY

W dniu 8 października 1656 r. wojska polskie, dowodzone przez hetmana Wincentego Gosiewskiego, rozgromiły oddziały Szwedów, Brandenburczyków i zdradzieckiego Bogusława Radziwiłła. Miało to miejsce pod Prostkami, nieopodal Grajewa. Literacki opis zmagania umieścił Henryk Sienkiewicz w „Potopie”. Przypomnijmy dwa frag-

wato się, że to w kuźniach młoty biją w stalowe blachy.”

Po bitwie: „Gromady czeladzi kręciły się tu i ówdzie z Tatarami, którzy czynili to samo. Szczególnie ci ostatni wyglądali po prostu strasznie, z nożami w ręku i ubroczonymi po łokcie rękoma. Rzekłbyś: stado kruków spadło z chmur na polowisko. Dzikie ich śmiechy i

jak to na wojence ładnie

menty: początkowy i końcowy. „Wstęga dymu przeleciała z jednego końca szeregu w drugi, potem dwie ławy jeźdźców i koni uderzyły o siebie z łoskotem. Konie wspięły się w pierwszym uderzeniu; nad głowami walczących zamigotały przez całą długość linii szable, jakby wąż błyskawiczny przeleciał z końca w koniec. Złowrogi dźwięk żelaza o helmy i pancerze dostyszało aż na drugiej stronie rzeki. Zda-

wraski rozlegały się po całym polu.

Niektórzy, trzymając dymiące jeszcze noże w wargach, ciągnęli obojętnie za nogi poległych, inni rzucali w siebie z żartów odciętymi głowami, inni ładowali sakwy, inni jak na bazarze podnosili w górę pokrwawione szaty, zachwalając ich doskonałość, lub oglądali broń zdobytą”.

piosenka spod Grajewa

Już mi nie minęło szesnaście latek, już czas — wpisać w rejestr męzatek. Hurmem, chłopcy, przybywajcie, a skore, może ja sobie którego obiorę.

Mam ja chłopczyne, ten pełen cnoty, być jego żoną wiele ochoty. Jest to sekret, jest to sekret, albowiem wiem, gdzie mieszka, jak się zowie, nie powiem. (Oskar Kolberg: „Dziela”, t. 42)



Młoda panienka

poszukuje miejsca do dzieci, lub do domu. Umie haflować. Wiadomość w redakcji.

Folwark

do sprzedania lub wdzierżawienia 35 10 — przetrzeźni wódek 12. Tanie do 30

ciężko bywało

● Po „potopie” szwedzkim, w roku 1676, naliczono w „mieście” 35 dorosłych mieszczan, burmistrza z rodziną i 2 Żydów z żonami.

● W 1800 r. na Grajewo składały się: rynek, dwie ulice i 48 domów. Jednak — choć małe — uchodziło za „porządnie zabudowane i ochędźne”.

● W roku 1818 szkołka parafialna „[...] udzielnego domu nie ma. Nauczycielem jest Mikołaj Morzkowski (?); nie bierze pensji żadnej, gdyż Parafia składać nie chce [...] Dzieci uczą się 30 chłopców”.

● Jeszcze w 1857 r. z 95 budynków stojących w Grajewie — tylko 5 było murowanych.

aktualne?

„Do najmieszkośliwszych istot należy mieszkaniec Grajewa i okolicy, zmuszony korzystać z usług poczty i kolei żelaznej Grajewo-Białystok”.

(„Gazeta Łomżyńska” nr 28 z 1920 r.)

to już historia

„Wykorzystanie potencjalnych warunków rozwojowych powiatu, poszerzenie związków produkcyjno-usługowych z Elkiem i Białymstokiem, rozwój i unowocześnienie gospodarki rolnej stwarza przesłanki dla przemian strukturalnych gospodarki powiatu.”

(1974 r.)

grajewiana